



Kaczyński oświadczył Niemcom, że także Rosja powinna nam zapłacić gigantyczne pieniądze za zniewolenie Polski przez wyzwolenie.



DZIENNIK COTYD

Drugi syn Matki Boskiej

str. 5

Przewalamy hajs na myśliwce, TVP czy „Damę z gronostajem”, a Polski nie stać na mieszkania dla jej własnych obywateli.

Dziupla białych orłów



Rys. TOMASZ WATER

ADAM LISZEWSKI

Według przyjętego mniej więcej na całym świecie modelu dorastania człowiek staje się pełnoletni w okolicach 18–20. roku życia, co obliguje go do wyniesienia się z rodzinnego domu. Wyprowadzka nie jest łatwa, zwłaszcza gdy rynek nieruchomości przypomina plan dobrego pornola, z tym wyjątkiem, że ktokolwiek cię wyrucha, nic na tym nie zarobisz.

W Polsce mamy wielomilionowy deficyt mieszkań na rynku, problem z wynajmem krótkoterminowym i inwestorów pomnażających kapitał przez wykupywanie ostatków kawalerki z rynku nieruchomości, podbijając przy tym ceny zakupu i najmu jednocześnie. Została jeszcze kwestia kredytu hipotecznego.

Za mało

Znamy takiego polityka, który lata temu kwałował o trzech milionach mieszkań do wybudowania. Hasło przez te kilkanaście lat niewiele straciło na aktualności, a i potrzeba też niewiele się zmieniła. Według dość szczegółowego raportu HRE Think Tank z 2018 r. w Polsce obecnie brakuje ok. 2,1 mln mieszkań, a w ciągu tej dekady deficyt zwiększy się do aż 2,7 mln. Co roku przybywa od 120 do 180 tys. chałup, z czego większość w okolicach lub w obszarze największych polskich aglomeracji – wskazuje to samo źródło.

Przez ten deficyt zgodnie z danymi Eurostatu około 40 procent Polaków mieszkało w 2017 r. w przeludnionym domu lub mieszkaniu i jest to jeden z najgorszych wyników w Europie.

Same kryteria też trzeba uznać za niewygodne – po pokoju na parkę lub samotnego dorosłego, póki na dwójkę główniarzy, chyba że różnej płci i starsze niż 12 lat – wtedy oddzielnie. Mowy o nasłonecznionym salonie i jadalni z wyjściem na taras nie było. A co się tyczy siwiejących powoli 25–30-latków, to około czterech na dziesięciu wciąż musi jarać szlugi w ukryciu przed starymi. Nadal nie stać ich na wymarzone 12 mkw. bez okien, 30 km od centrum miasta. To wciąż dane Eurostatu, nie instytut danych z dupy. A czemu to ich nie stać?

Za drogo

Nawet ci dobrze zarabiający na mieszkanie nie mogą sobie pozwolić. Drożej bowiem nie tylko zakup własnościowy, ale przede wszystkim wynajem. Z danych Expandera i Rentier.io za ze-

szły rok wynika, że ceny najmu w dużych miastach w najlepszym wypadku rosną rok do roku o 10 proc., a w najgorszym, takim jak w Toruniu, nawet o 25 proc. Jak gdyby samo mieszkanie w Toruniu nie było wystarczająco przykrym doświadczeniem (a wiem, bo stamtąd jestem).

Ceny opłat już teraz wydają się horrendalne i nic nie wskazuje na to, że przestaną rosnąć. W Warszawie są już tak wysokie, że taniej jest wyprowadzić się do Berlina i zacząć życie od nowa, nawet z polską pensją.

Ta całkiem spora i wydawać by się mogło kosztowna na co dzień stolica Niemiec poszła po rozum do głowy i ceny najmu po prostu zamroziła.

Przepisy weszły od początku tego roku i dotyczą ponad 1,5 mln lokali, których ceny najmu zamrożono na 5 lat. Jedynym wyłączeniem jest podwyżka o planowaną do roku 2022 inflację, czyli o zawrotne 1,3 proc. Brzmi jak mokry sen lewaka? Może, ale dzięki temu rozwiązaniu najmniej zamożni berlińczycy mogą spokojnie żyć, nie obawiając się wyprowadzki z dnia na dzień.

W Polsce nie jest tak różowo.

Między grupą najuboższych, którym przysługuje prawo do lokalu socjalnego, a tymi, których stać na własny dach nad głową i kibel do srania, jest całkiem liczna grupa sfrustrowanych ludzi, którzy zastanawiają się, czy bardziej nie stać ich na kredyt, czy może na wynajem.

Teoretycznie tańszy jest kredyt. Nawet mimo kilkudziesięcioletniej pętli na szyi, mimo planu godnego najwybitniejszego wróżbity, który jest w stanie przewidzieć potencjalne wojny, kryzysy, zawirowania na rynku pracy, katastrofę ekologiczną i wahania cen paszy dla trzody chlewnej, tańsze jest podjęcie decyzji, że przez najbliższe 30 lat będę miał 1,5 tys. zł co miesiąc na spłatę mieszkania. Niestety nie każdy ma ku takiej decyzji sposobność. Mówiąc „nie każdy”, mam na myśli nawet 40 procent polskiego społeczeństwa, które utknęło w tzw. luce czynszowej – za bogaci na lokal socjalny, za biedni na kredyt. Tak wskazuje fundacja Habitat for Humanity, ale to jedynie szacunki. Widać jednak skalę problemu.

Jak gdyby brak perspektyw na własny dom nie był wystarczającym piachem w pysk, rynek najmu oferuje życiowym przegranym wiele dodatkowych atrakcji, które razem dają galopujący wzrost czynszów. Najpotężniejszym jest inwestowanie nadwyżki gotówki w nieruchomości. Najczęściej w te małe, w dużych miastach, tam gdzie ceny najmu są wysokie. Około 70 proc. mieszkań, które sprzedają się w Polsce, są nabywane za gotówkę. Oznacza to, że nie trafiają one w ręce ściubiającego grosz do grosza młodego małżeństwa, które wymodliło właśnie u Matki Boskiej Hipotecznej kredyt na 40 lat, lecz jego-ścoś pchający w zysk nadwyżkę gotówki. Trudno mieć mu taki interes za złe, wszakże to idealny pomysł na ochronę swojego dorobku przed inflacją, szczególnie gdy oprocentowanie lokat nie powala. Gorzej jednak, gdy staje się sposobem na życie i z jednej kawalerki w Płocku rodzi się 17 nieruchomości w sześciu miastach z czynszem, który co roku rośnie o 10 proc. To oczywiście zgodne z prawem, ale z punktu widzenia biedaków uczciwie jak sprzedawanie spragnionemu wody za 10 tys. dolarów za szklankę.

Ceny najmu podnosi także wynajem krótkoterminowy, który stał się ostatnio bardzo popularny. Jest to *novum* na rynku, doprecyzuję więc, jak to działa. Wyjeżdżający na weekend urlopowicze często w miejscowościach turystycznych poszukują już nie tylko atrakcyjnych hoteli, ale także mieszkań, w których można ulokować tyłek na noc, dwie lub trzy. Mając zatem kawalerkę w Gdańsku lub małe mieszkanko blisko warszawskiej starówki, wielokrotnie bardziej opłaca się wynajmować przez aplikację na telefon mieszkanie na dobę kilkudziesięciu osobom w roku, niż przeznaczyć je na umowę długoterminową. Łatwo zatem połączyć dwie kropki, że jeśli najem krótkoterminowy jest tak korzystny, to i ceny w długoterminowym muszą iść do góry.

Przywilej czy prawo

Tkwiącym w luce czynszowej w cywilizowanych krajach pomaga państwo. W tych najbardziej cywilizowanych nie dopuszcza, aby się tam nawet przez chwilę znaleźli. Ale w Polsce z cywilizacją, jak ze wszystkimi nowinkami, staramy się obchodzić ostrożnie.

Grzebiąc w archiwalnych tekstach, natrafiam na relację z pierwszego posiedzenia rządu Jarosława Kaczyńskiego. Tego prawdziwego z 2006 r. „Przyspieszenie zmian w prawie, zbudowanie autostrad oraz 3 milionów mieszkań – to priorytety rządu Jarosława Kaczyńskiego” – napi-

sano. Minęło 14 lat, mieszkań nie ma, a historia zdążyła zatoczyć koło.

Między premierostwem a awansem na naczelnika państwa Polacy zdążyli jeszcze pokochać miłością trudną, ale jakże szczerą Donaldą Tuska i jego umiłowany rząd. Na lata haratania w gałę, życia na zielonej wyspie i uroczych afer z kulinarnymi przysmakami w tle przypadł także jedyny zrealizowany, istniejący i realnie wspierający program pomocy osobom, które tkwią w luce czynszowej – „Mieszkanie dla młodych”. Czyli 4-letni program, który nawet przez PiS został utrzymany w spadku po rządzie Ewy Kopacz, zakładający dopłaty do mieszkań dla osób decydujących się na kredyt. Dopłaty, choć nie ogromne, to jednak znaczące, bo minimum 10 proc. wartości nieruchomości. Wcześniej PO miała program „Rodzina na start”, który niwelowal część odsetek kredytowych przez pierwsze 8 lat, jednak trudno to nazwać realnym wsparciem, już raczej skromną jałmużną.

Po chudych latach Tuszkowskiego ucisku miał nastać prawdziwy dobrobyt. „Mieszkanie plus”, jak wszystko co ma „plus”, okraszane było półprzymiotnym uśmiechem Beaty Szydło i zapewnieniami, że PiS jest uczciwie i da. No i dało. Kilka konferencji prasowych, na których wbijano łopaty pod budowy bloków, i faktycznie kilka tysięcy mieszkań. Nieobiecywane 100 tys. w rok. Kilka tysięcy... Rząd u progu drugiej kadencji przyznaje się zatem, że doszło do sukcesu, ale program wymaga resetu, który ma nastąpić. Tak przynajmniej zapowiadała jeszcze miesiąc temu Jadwiga Emilewicz, minister rozwoju. Tu właśnie kończy się zataczanie koła. Znow na ustach są 3 miliony mieszkań i znow na ustach jest dekada na wybudowanie ich i oddanie do użytku. Z kronikarskiej dokładności wspomnę jeszcze, że jest taki program jak „Mieszkanie na start”. Czytając jego warunki, łatwo jednak wydedukować, że dotyczy on może promila nieruchomości, jakie są obecnie dostępne na rynku.

Mogło być mniej

Bo mamy więcej szczęścia niż rozumu i bloki z wielkiej płyty wciąż nadają się do zamieszkiwania, mimo że coraz więcej z nich dobiega powoli pięćdziesiątki lub sześćdziesiątki. A szczęście to nie lada, bo w wielkiej płycie mieszkać może nawet 12 milionów Polaków. Budowane tak, aby miały wytrzymać 50, może 70 lat, okazują się

Dokończenie na str. 3



» Duda, który jeśli wygra majowe wybory, będzie pełnił funkcję prezydenta Polski do 2025 r., podpisał ustawę kagańcową. Oprócz tego, że ustawa pozwala karać antyrządowych sędziów, umożliwia Dudzie wybranie posłusznego władzy pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Opozycja ma nadzieję, że po podpisaniu ustawy Duda znajdzie się na równi pochyłej i przerznie wybory. Duda liczy zaś na to, że zintegruje prawicowy elektorat i wybory wygra w pierwszej turze.

» Rzecznik Komisji Europejskiej Christian Wigand ogłosił, że podpisaną przed Dudą ustawę komisja analizuje pod kątem zgodności z prawem europejskim. Wynikiem analizy może być wniosek do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej o tzw. zabezpieczenie, czyli tymczasowe (aż do prawomocnego orzeczenia) uznanie przepisów za sprzeczne z prawem UE. Wójcik, zastępca Ziobry, ze zwykłą sobie pewnością siebie powiedział w radiu TOK FM, że pisowska władza nie bierze pod uwagę nieuprawnionej ingerencji KE i TSUE w polski system sprawiedliwości.

» O potrzebie europejskiej praworządności w Polsce oraz niepokoju z tym związanym mówił podczas dwudniowej wizyty w Warszawie i Krakowie prezydent Francji Emmanuel Macron. Mówił też w przychylnym tonie o Polsce i Polakach oraz zapowiedział reaktywację Trójkąta Weimarskiego, czyli ściślejszą współpracę Francji z Polską i Niemcami. W jej ramach możliwe będą wspólne działania przy projekcie i produkcji europejskiego czołgu nowej generacji. Prezydent Macron obiecał znaczną pomoc finansową Unii Europejskiej w procesie zmian energetycznych w Polsce – z energii węglowej na zieloną. Pisowcy, m.in. Duda i Morawiecki, puchli z dumy, że Europejczyk Macron potraktował ich również jak Europejczyków. O tym, że na wyrost, prezydent Francji mógł się przekonać po wyjeździe z Polski, gdy Duda użył długopisu do podpisania ustawy kagańcowej.

» Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego (która według trzech innych izb SN nie jest sądem w rozumieniu prawa UE) rozpatrzyła skargę Radzika, zastępcy rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych. Wykorzystując obecne, jeszcze niekagańcowe przepisy, izba zawiesiła w obowiązkach olsztyńskiego sędziego Pawła Juszczyżyna, który domagał się ujawnienia tzw. list poparcia członków pisowskiej Krajowej Rady Sądownictwa. Przy okazji odebrała mu 40 proc. wynagrodzenia. Nawacki, członek KRS i przelozony Juszczyżyna, zabrał mu prowadzone sprawy, które będą „rozlosowane” wśród innych sędziów.

» Uznając decyzję Izby Dyscyplinarnej za niezgodną z prawem, sędzia Juszczyżyn nie pozwolił się wziąć głodem i przemocą – i stawiał się do pracy w sądzie. Nic to nie dało. Nawacki postawił na swoim.

» Sprawozdawcą, który przedstawiał uzasadnienie decyzji o zawieszeniu Juszczyżyna, był Tomczyński, członek Izby Dyscyplinarnej SN. „Tygodnik Powszechny” przypomniał publikację o nim – podczas gdy był sędzią warszawskiego sądu rejonowego, „dopuszczał się kumoterstwa, tworząc sieć powiązań biznesowych”. Tomczyński zasłynął również z niewybrednych propisowskich komentarzy w mediach społecznościowych. Najmniej niewybredny: „Bronisław Komorowski, Ewa Kopacz, Donald Tusk, Maciej Lasek, prokuratorzy od »śledztwa« – wypad pajace”.

» Centrum Informacyjne Sejmu wydało osobiły komunikat w sprawie tzw. list poparcia członków KRS. Nie publikując nazwisk popierających sędziów, CIS podało ich liczbę, przy okazji potwierdzając podejrzenia, że jest to towarzystwo wzajemnej adoracji: „sześćdziesięciu dwóch sędziów poparło dwóch kandydatów, dwunastu sędziów poparło trzech kandydatów, czterech sędziów poparło czterech kandydatów, pięciu sędziów poparło pięciu kandydatów, jeden sędzia poparł siedmiu kandydatów, dwóch sędziów poparło ośmiu kandydatów, trzech sędziów poparło dziewięciu kandydatów”. A wszystkich poparł oberprokurator Ziobro.

» Sędziowie Anna Pałasz, Joanna Urlińska, Katarzyna Zabuska i Krzysztof Bieńkowski publicznie przyznali, że podpisali listę poparcia dla Nawackiego, ale zanim został on członkiem KRS, poparcie wycofali. I na to CIS znalazło sposób, ogłaszając, że „ustawa o KRS nie przewiduje możliwości wycofania raz udzielonego kandydatowi do KRS poparcia”.

» Belgijska minister zdrowia Maggie De Block poinformowała o pierwszym potwierdzonym przypadku koronawirusa w tym kraju. Zażeniona jest kobieta, która wraz z 250 Europejczykami, w tym 30 Polakami, została ewakuowana z Wuhanu w Chinach. Polacy wirusa nie złapali, mimo kwarantanny czują się dobrze i służą pisowskiej władzy za przykład skuteczności publicznej służby zdrowia.

» W towarzystwie Dudy, Błaszczaka i ambasador Mosbacher Morawiecki podpisał umowę zakupu w USA 32 wielozadaniowych myśliwców F-35, które nazwał „podniebnym pancernem, który ma służyć zapewnieniu pokoju”. Pancerny będzie kosztował ponad 17,5 mld zł.



Duda, podejdź do płota

Co rano stoję przy płocie zimowego pałacu Andrzeja Dudy. Sterczę tam wraz z dziesiątkami innych osób, a z dziesiątkami tysięcy ludzi rocznie. Zmuszają mnie do tego światła umieszczone w miejscu, gdzie kończy się ażurowe żelazne ogrodzenie, czyli za plecami zawstydzanego Piłsudskiego na monumencie. Światło lubi być czerwone.

Na całym świecie ruch jest szybko przeganiany sprzed siedzib prezydentów i królów w trosce o ich bezpieczeństwo. „Wyborcza” podała, że willi Kaczyńskiego na warszawskim Żoliborzu stale broni policja zmotoryzowana i piesza, chociaż prezes obok państwowej ma też partyjną ochronę za ponad milion rocznie. Bronią prezesa przed zbliżaniem się do niego Polaków. Dlaczego z Kaczyńskim jest tak, a z Dudą siak? Nadzędność prezesa nad prezydentem nie wyjaśnia zatrzymywania ludzi przy tym ostatnim, a przeganiania z pobliza pierwszego.

Wygląda to na prowokowanie przez władze próby zamachu na Dudę. Zwariowałem? Gdyby prezydentowi przed wyborami coś się stało, Kidawę-Błońską już można uznać za prezydentkę, więc PiS za formację bez zębów i protezy. Tak myślący nie rozumieją różnicy pomiędzy próbą zamachu, a zamachem eliminującym kandydata. Próba gwarantuje Dudzie wybór, a udany zamach niewybrór.

W realu Dudzie nic fizycznie nie grozi. Trzeba wiedzieć, że Belweder, mniejszy z warszawskich pałaców prezydenta, ma przód od tyłu. Duda mieszka i pracuje nie od ulicy, ale od strony parku, gdzie nikt nie jeździ ani nawet nie chodzi. Bomba zlikwidować mogłaby tylko jego podejźdżającego przez dziedziniec ważnego gościa. Nieważni wjeżdżają bowiem z boku. Zamach byłby więc korzystny dla PiS, rodząc falę współczucia gwarantującą Dudzie ponowny wybór. To jednak niczego nie tłumaczy, gdyż czerwone światło nie nastąpiło przy Belwederze teraz. Świeciło tam zawsze, ktokolwiek był prezydentem. Wypada więc przyjąć, że jest ono sygnałem zbierania Biura Ochrony Rządu teraz nazwanego Biurem Ochrony Państwa, a to dla podkreślenia, że pod pojęciem państwa rozumie się wyłącznie ścisłą elitę terażniejszych władz. Bo też Senat i SN nie należą do państwa, to organy antypaństwowe.

Zmuszanie ludzi do wystawiania przed tylnym przodem pałacu może mieć też cele propagandowe. Wynikać z chęci zmuszania wystających pod światłami do myślenia o wzniosłości prezydentury, o której zaświadcza pompatyczna kolumnada pa-

cu ozdabiająca jego dupy stronę. Bardziej monumentalna niż sam Duda tańczący disco polo z obywatelkami przebranymi w ludowe kostiumy. Od razu lepiej ludność myśli o prezydencie, kiedy go nie widzi.

Niektórzy z zatrzymanych zyskują rozkoszne wrażenie, że jadą w kondukcje pogrzebowym kojarzonym z lokatorem pałacu. Ja zaś sądzę, że przymus wystawiania przed Belwederem ma na celu wskazanie na hierarchię ważności w ekipie PiS. Siedziba premiera mieści się tuż za światłami, jeśli popatrzeć na nią od strony Belwederu. Dzięki temu wystawczy się koło Dudy, auta szybko przejeżdżają koło okien Morawieckiego. Andrzej Duda jest zaś łatwiej wymienialny niż premier, chociaż nie teraz przed wyborami. Biorąc ten zamysł pod uwagę, lepiej jednak sądzić, że czerwone światło jest po prostu dzieckiem bezmyślności struktur rządowych. Ta interpretacja zjawisk zawsze się sprawdza.

Ruch uliczny wszędzie zamara się kolorem czerwonym być może z przemyślanego powodu. Kolor czerwony

znienawidzony jest przez środowisko PiS. Stopująca czerwień światła oddziałuje więc na podświadomość ludności, wskazując, że jest to barwa hamująca jazdę do przodu, mrożąca postęp i słuszne dążenia prawicy.

Ufam otóż, że stale zatrzymywanie przed pałacem dziesiątków samochodów stojących z włączonymi silnikami zasmradza pałac także od strony parku. Kiedy więc Duda otwiera okno, doznaje nie mniejszego szwanku niż od ewentualnej bomby wybuchającej mu na tyłach. Być może społeczeństwo zachęca go tym sposobem do przyjęcia proklamacyjnej postawy, skoro inne zachęty nie działają. Ponieważ światła instaluje prezydent Warszawy, Trzaskowski z PO, tej interpretacji powodu nieprzesuwania ich spod Belwederu trzymam się najchętniej. W Platformie nie ma gwałtowników. Duda truty jest spalinami stopniowo. I tak mu dopomóż Bóg.

sekr@redakcja.nie.com.pl



PRASA ŚNIADANIOWA

■ **Emmanuel Macron** otrzymał w Polsce książki: „Quo vadis” i „Księgi Jakubowe”. Praktyczniejszy byłby rozrusznik do renault.

■ **Andrzej Duda** powiedział, że często jest odwiedzany przez osoby innej orientacji seksualnej niż on. To miło, że prezydenta w ogóle ktoś odwiedza.

■ Minister od aktywów państwowych **Janusz Kowalski** powiedział, że kończy się lex Gersdorf i lex kasta. Kiedy zakaz sprzedaży samochodów Lexus?

■ **Tadeusz Cymański** na posiedzeniu komisji sejmowej zażądał zakupu fortepianu. Tradycyjnym polskim instrumentem są fujarki i trąby, a nie żadne fortepiany.

■ **Rafał Ziemkiewicz** porównał Polskę w Unii Europejskiej do krowy, którą się doi i czasem smaga batem. To Matka Boża jest patronką krowy?

■ Program interwencyjny „Alarm!” w TVP poinformował, że hostia upuszczona na ziemię zamieniła się we fragment mięśnia sercowego. Chyba nie wypada w kościele mięsem rzucać.

■ W Tarnowie nastąpiła fala uzdrowień po wizycie brytyjskiego charyzmatyka **Damiana Stayna**. Co za oszczędność dla NFZ!

MARTA M.

MICHAŁ MARSZAŁ

Reklamowane przez Ordo Iuris – prawne ramię PiS – spotkanie pod jakże powściągliwym tytułem: „Czy czas zakazać rozwodów?” narobiło pewnego zamieszania w mediach. Zgodnie ze starą szkołą zawodu, niepraktykowaną dziś w portalach internetowych, jako jedyny dziennikarz wybrałem się na to wydarzenie. I aż mi ciarki przeszły po plecach.

Pod twoją obronę...

Kraków powitał przyjezdnych najlepiej jak potrafił – śmiertelnym stężeniem benzopirenu w powietrzu. Razem ze mną po wyjściu z pociągu z Warszawy wykaszła się wiceprezes Ordo Iuris, mający być czołowym prelegentem tego wieczoru – dr Tymoteusz Zych, znany przeciwnik LGBT i aborcji, ale za to gorący zwolennik Pana Jezusa.

Spotkanie odbyło się w skromnej salce należącej do Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi. Zasłynęło ono tym, że rozsyłało emerytom cudowne medaliki i druczki do przelewów tak nachalnie, że aż odcieła się od tego kuria.

– Aby nasza dyskusja przyniosła owoce dziesięcio-, trzydziesto- i stukrotne – wyjaśnił moderator – rozpoczniemy modlitwą.

– Pod twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko... – mówili na stojąco wszyscy, stękałem więc i ja. Czujne spojrzenia zgromadzonych zamiast na krzyżu skupiały się na tropieniu Judaszów.

Wstępem publiczność uraczył Krystian Kratiuk, redaktor naczelny portalu PCh24.pl, bardziej religijny od papieża. Dumny był z tego, że udało mu się narobić w mediach takiego fermentu, a następnie zaczął reklamować najnowszy numer dwumiesięcznika „Polonia Christiana”, gdzie już nie pierdolono się w znaki zapytania. „Czas zakazać rozwodów!” – krzyczał tytuł na okładce.

Za kosztującą 12 zł gazetę zapłaciłem 10 zł (nie drukowano paragonu) i gdy prowadzący smęcił, zająłem się lekturą.

Pierwszy z autorów wchodził w temat delikatnie: „Każdy, kto dążąc do rozwodu, twierdzi, że choć ze współmałżonkiem mu się nie układa, lecz kocha wspólne dzieci, łże jak pies”. I zaznaczał, że małżeństwo wcale nie jest instytucją ludzką, lecz boską. A Polacy rozwodzą się, bo chcą zaoszczędzić życia celebrytów.

Następni publicyści nie byli lepsi. Według statystyk w 2017 r. rozpadło się w Polsce ponad 65 tys. rodzin.

Małżeństwo ma się kończyć tylko śmiercią.

Skuci obręczkami

Rozwodem kończy się co trzecie małżeństwo, a w miastach prawie 50 proc. Zaraza przyszła – jak wszystko co złe – z Unii Europejskiej, gdzie rozwód orzekany jest statystycznie co pół minuty, a to daje 2500 rozwodów każdego dnia. W Portugalii rozwodzi się niemal trzy czwarte par, w Luksemburgu dwie trzecie, a w Belgii ponad 60 proc. Na tym tle Polacy i tak wydają się w miarę stateczni, ale nie dajmy się omamić. Przecież wielu związków dziś się nie formalizuje, a to przekłada się na zakłamanie i tak tragicznych danych.

Autorzy proponują najpierw wkładanie kija w szprychy – podwyższenie opłat sądowych, skomplikowanie procedur, a jako broń najskuteczniejszą ściśle stosowanie art. 56 § 2 kodeksu rodzinnego, który mówi, że „**rozwód nie jest dopuszczalny, jeżeli wskutek niego miałyby ucierpieć dobro wspólnych małoletnich dzieci małżonków albo jeżeli z innych względów orzeczenie rozwodu byłoby sprzeczne z zasadami współżycia społecznego**”.

Czyli: męcz, człowieku, siebie i dzieci aż po życia kres.

Uciekamy się...

– Czy państwo sobie wyobrażają, że istnieje za granicą targi rozwodowe? Kiedy to się stanie w Polsce? – burzał się przez mikrofon redaktor naczelny Kratiuk. I pytał ironicznie – Nawet telewizja publiczna nie tylko puszcza, ale produkuje seriale, w których niemal każdy się rozwiodł. „Klan”, „M jak Miłość”, „Barwy szczęścia” – gdybyśmy spróbowali sobie przypomnieć liczbę rodzin, które się nie rozpadły albo nie zdradziły, to kto zostanie? Może zostanie taka para dwóch panów z „Barw szczęścia”, która jest bardzo sympatyczna, boryka się z problemami, ale jakoś starają się współwychowywać w patchworkowej rodzinie syna, z kobietą, która go rzecz jasna urodziła, bo jeszcze w tych serialach kobiety rodzą dzieci?

O ile, zauważył Kratiuk, przepełnienie państwowego zakazu rozwodów, tak jak postulował papież Pius XI, może być obecnie trudne, zakazać powinniśmy ich najpierw sobie, swoim rodzinom, znajomym, a w końcu wszechobecnej kulturze.



Ilustr. WŁODEK KIERUS

Bo inaczej kiła-mogila – a przecież jedno z pastuszków, którym ukazała się w Fatimie Matka Boska, ostrzegało, że ostateczna walka między dobrem a złem odbędzie się o rodzinę. A rodzina bierze ostatnio ostro w dupę, tak np. na Malcie jeszcze 9 lat temu rozwody były zakazane, a potem przyszła legalizacja związków homo, adopcja dzieci przez gejów i uznanie płci trans, dopuszczenie sex-shopów, a nawet usunięcie zakazu obrażania Kościoła katolickiego.

Od wszelakich złych przygód...

Głos zabrał następnie dr Zych z Ordo Iuris, adiunkt na wydziale prawa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, od 2015 r. członek rady ds. życia rodzinnego i autonomii rodziny w Ministerstwie Sprawiedliwości, najbardziej znany jako współautor projektu „Stop aborcji”, który o mało nie wszedł w życie, a po którym w całym kraju zaroilo się od czarnych protestów.

Powołując się na amerykańskie badania, doktor wyjaśnił, że rozwodnicy żyją krócej, prędzej ładują na bezrobocie i egzystują bardziej ubogo od nierozwodników. Dziewczynki, których rodzice się rozstali, o 60 proc. częściej rozwodzą się same.

Potem przedstawił rys historyczny rozwodów w historii, z jakże uroczym mordowaniem włącznie.

Receptą na rozwody mogłoby być według dr. Zycha przedłużenie okresu separacji: w Irlandii trzeba się męczyć 3 lata, a na Malcie nawet 4. W Polsce co prawda też się męczymy, ale nie z zasady, lecz przez przewlekłość sądów. A chodzi przede wszystkim o takie przebudowanie prawa, aby rozwodzić się nie opłacało.

W 2004 r. wprowadzono w Polsce np. świadczenie adresowane do samotnych rodziców, co poskutkowało wzrostem liczby rozwodów. Fikcyjnych, bo rodziny dalej żyły pod jednym dachem. A powinno być odwrotnie, np. jak na Węgrzech, gdzie zaraz po ślubie można wziąć od państwa nieoprocentowany kredyt na ponad 100 tys. zł, a w przypadku narodzin trzeciego dziecka całkiem przestać go spłacać.

Podobnego numeru ku zachwytowi Zycha próbuje od lat Nysa, która daje małżeństwom posiadającym dzieci przywileje finansowe, a której burmistrza Morawiecki powołał nawet do ministerialnej Rady Rodziny. Przeciwno dyskryminacji niedzieciatych protestuje co prawda Rzecznik Praw Obywatelskich, co skutkuje uchylaniem uchwał przez sądy, ale rada miasta nie jest palcem robiona. Ponownie

przyjmuje takie prawo, tylko delikatnie zmodyfikowane, co skutkuje ponownym rozpoczęciem całej zabawy w ciuciubabkę.

Po zakończonym wykładzie nieco wnerwiony moderator zapytał Zycha krótko: To trzeba w końcu zakazać rozwodów czy nie? Ten pocił się i gimnastykował, wnioskując po kilku minutach, że chrześcijanie powinni najpierw zabronić rozwodów sami sobie. Co trzeba by wprowadzić do polskiego prawodawstwa, a potem się zobaczy.

Na moją sugestię, czy adwokatom takim jak on wypada w ogóle reprezentować – i to przecież za gruby szmal – klientów w sprawach rozwodowych, dr Zych znów zaczął odpowiadać naokoło. Wicie, rozumiecie, jest etyka adwokacka i etyka chrześcijańska, deontologia zawodowa... Koniec końców zostawił uchyloną furtkę, choć sam sprawy rozwodowej absolutnie by nie poprowadził.

Racz nas wybawiać...

Wracając pociągami do stolicy, doczytałem do końca cały numer „Polonia Christiana”. Dowiedziałem się, że za wszelkie zło tego świata – od Marcina Lutra, przez rewolucję francuską, po Marksa, Engelsa i Lenina – odpowiedzialna była walka z sakramentem małżeństwa. A rozwód jest dla dzieci gorszy nawet od śmierci rodziców!

Wszystkim, którym wydaje się, że to tylko niewinne gry i dywagacje katolibanu, przypomnieć trzeba, że Ordo Iuris to wyjątkowo skuteczna przyboczna organizacja PiS-u, szybko przekuwająca słowa w czyny – co udowodniła już przy walce o zakaz aborcji.

Jeśli prawo uniemożliwiające rozwody wejdzie w życie, nie będzie już można nawet określić Polski mianem Iranu Europy – bo w Iranie rozwody są powszechne i łatwo dostępne. Co tym bardziej realne, gdyż w lutym zeszłego roku Andrzej Duda niekonstytucyjnie nominował Aleksandra Stepkowskiego, prezesa i założyciela Ordo Iuris, do pełnienia funkcji sędziego w Sądzie Najwyższym. Tym samym, którego niezależność od polityków właśnie poszła się jebać. □

michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

Dokończenie ze str. 1

trwalsze i po modernizacji mogą wytrzymać nawet dłużej, nie oznacza to jednak, że problemu nie ma, a Polacy z przyszłości, zanim skolonizują Marsa i zalegalizują śluby gejowskie, będą musieli mieszkać w zabytkowych 200-letnich blokach z płyty. Ich wytrzymałość też ma granicę, a to oznacza, że do dziś brakujących ponad dwóch milionów mieszkań w perspektywie dekady, może dwóch, powinniśmy doliczyć jeszcze 12 mln.

Co zatem robić? Nie pierdolić, budować i nie wydawać na głupoty.

Na TVP poszły z budżetu 2 mld zł. Licząc po średniej cenie rynkowej mieszkań w Warsza-

Dziupla białych orłów

wie, za te pieniądze można by wybudować 5 tys. 40-metrowych mieszkań. I to w warunkach komercyjnych.

Pamiętajmy, że nawet 1/4 tej kwoty to marża dla dewelopera, dochodzą także koszty zakupu działki. Oznacza to, że z samych pieniędzy przejębanych na garsonki dla Holeckiej i sylwestra w Zakopanem można by wybudować nawet kilkanaście tysięcy mieszkań. Na kolekcję Czartoryskich wydaliśmy 100 mln euro; licząc w ten

sam sposób i zakładając, że euro kosztuje 4 zł, mamy kolejnych 1000 mieszkań w Warszawie, wybudowanych po cenach rynkowych. Za 32 myśliwce F-35, które przy dobrych wiatrach będą bronić polskiego nieba przed zagraniczną potęgą dzień dłużej, zapłacimy 17,5 mld zł. I znów – zamiast nich stanęłoby w drogiej przecięt stolicy co najmniej 40 tys. mieszkań.

Masowy program budownictwa socjalnego jest możliwy. Nawet w niesprzyjających warunkach

ekonomicznych czy przy takich problemach, jakie mamy z edukacją, ekologią czy służbą zdrowia. One w perspektywie najbliższych lat też pochłoną wiele miliardów złotych. Pamiętajmy jednak, że niemal natychmiast po II wojnie światowej udało nam się stworzyć system masowego budownictwa socjalnego, a – jak wspominałem – w mieszkaniach z wielkiej płyty żyje obecnie co trzeci Polak. Gdzie on się podzieje, gdy sufit na łeb mu spadnie? □



Daniszevska: – „Bardzo stabilny geniusz”?
Wółk-Łaniewska: – Pan prezydent Trump zwykł tak mówić o sobie. „Przeszedłem drogę od biznesmena z wielkimi sukcesami, przez czołową gwiazdę telewizji, do prezydenta Stanów Zjednoczonych (przy pierwszej próbie). Myślę, że to kwalifikuje mnie nie tylko jako bystrego, ale wręcz jako geniusza. I to bardzo stabilnego geniusza”.

– Ale dlaczego „stabilnego”?

– Bo pod koniec pierwszego roku kadencji, gdy Amerykanie jeszcze oczekiwali od swojego prezydenta jakiegokolwiek formy mózgu – a nie są zbyt wymagający, pomnij sobie, dwa razy wybrali George’a W. Busha – pojawiły się dyskusje na temat zdolności Pana Prezydenta Trumpa do sprawowania urzędu, a szczególnie jego sprawności umysłowej i stabilności emocjonalnej. I wtedy Pan Prezydent zapewnił, że jest „bardzo stabilnym geniuszem”. Co było prawie równie zachwycające jak to, gdy w republikańskiej debacie prawyborczej zapewnił elektorat, że nie ma małego fiuta.

– A nie ma?

– Tego akurat nie wiem, ale w debacie tak powiedział. Że mówią, że ma małe ręce, a one wcale nie są małe. I że jeszcze mówią, że jak ma małe ręce, to „coś innego musi być małe”, ale prezydent – wówczas jeszcze kandydat na prezydenta – „gwarantuje, że tam nie ma problemu”. Zaprawdę powiadam ci przy prezydencji Trumpie prezydent Duda nie jest żadnym tematem do rozmowy. Czytam tę książkę z zapałym tchem, a jak przeczytam, to napiszę, niech się Czytelnicy też pośmieją.

– A propos twojego ulubionego Donalda: cieszysz się, Wółku, że masz nowe amerykańskie samoloty?

– Baaardzo. Dzień przed podpisaniem umowy przez wybitnego ministra Błaszczaka Biuro Dyrektora Testów i Ewaluacji Operacyjnych departamentu obrony USA ogłosiło raport na temat jakości różnych typów amerykańskiej broni, z którego wynika, że F-35 nadal posiada 873 nie-
naprawione usterki i co prawda niektóre ulegają
naprawieniu, ale cały czas pojawiają się nowe, to-
też ich liczba zmniejsza się bardzo powoli. W tej
liczbie znajduje się 13 usterek z gatunku „deficy-
tów pierwszej kategorii”, czyli takich, które – we-
dług definicji US Air Force – „mogą spowodować
śmierć lub poważne obrażenia pilota; mogą po-
wodować utratę lub poważne uszkodzenie syste-
mu uzbrojenia; krytycznie ograniczają gotowość
bojową korzystającą z nich organizacji; lub po-
wodują zatrzymanie linii produkcyjnej”. Hurra!

– Wszyscy się cieszą. Aż tryskają radością, że wyskoczyli z kasy.

– Bez offsetu. A na naszych czerwonych gada-
li, że offset był cienki. No bo był, swoją drogą, ale
w zestawieniu z tymi penetratorami amerykań-
skiego rectum nasi byli twardzi jak Roman Bratny.

– Czy Trump odpala im działkę?

– Może obiecał, ale nie zapłaci.

– Skąd wiesz?

– Bo on nigdy nie płaci. Jak ten słoń z rekla-
my snickersa. Jest z tego powszechnie znany:
roluje kontrahentów i podwykonawców. Żad-
na szanująca się kancelaria prawna nie chciała
go – już jako prezydenta USA – reprezentować
w dochodzeniu w sprawie rosyjskiej interwen-
cji w wybory, albowiem po pierwsze to trochę
wstyd, a po drugie nie mogli się dopytać, kto im
zapłaci, a Trumpowi nie wierzą.

**– Mnie najbardziej zachwycała wiadomość od fachowca, że ewentualny agresor pierw-
sze, co robi, to te F-35 zestrzeli. Bo te cu-
downe samoloty wymagają całego systemu.
A ten kosztuje wielokrotnie więcej, zatem go
nie mamy i mieć nie będziemy. Ja bym była
za tym, żeby taki upudrowany prezydent sam
płacił za swoje durne zabawki. Ale być może
durny suweren wierzy, że dzięki nim wygra-
my wojnę z Putinem?**

– Chyba nie.

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA skończyła czytać
wynurzenia Tuska „Szczерze”. Po lekturze
westchnęła nieszczерze. Dla niej za słodko.
AGNIESZKA WÓŁK-ŁANIEWSKA czyta książkę
o Trumpie zatytułowaną „Bardzo stabilny
geniusz” i turla się ze śmiechu. Amerykanie mają
z Donaldem nawet weselej niż my z Adrianem.



– Być może też wierzy, że Putin zrobi tę wojnę? Wiesz coś o tym?

– Też chyba nie.

– Chyba nie wierzy czy chyba nie robi?

– Na pewno nie robi i chyba nie wierzy. Choć chłop to u nas ciemny jest...

– A skąd wiesz, że nie robi?

– Ambasador Andriejew mi powiedział. To
znaczy nie mnie osobiście, wszystkim gościom na
Dniu Obrońcy Ojczyzny w zeszłym roku. – Kraj
u nas wielki – powiedział – granice rozległe, dość
mamy roboty z ochroną własnych granic, żebyśmy
jeszcze kogoś napadali. Ale gdyby ktoś nas napadł,
to my będziemy swojej ojczyzny bronić. Wypijmy
zatem za pokój i przyjaźń między narodami...

– To bardzo przekonujące było.

– Właśnie. Ja tam wierzę ambasadorowi An-
driejewowi. A już na pewno bardziej niż pol-
skim tytanom polityki międzynarodowej.

– A propos polityki międzynarodowej: mamy brexit. Wisi mi to i powiewa. Mam swój stosunek do Anglii...

– Ja też. Nie znoszę skurwysynów, że nie wy-
brali Jeremy’ego Corbyna na premiera. Niech
się gonia i zdychają.

– A byłeś tam?

– Raz, z 15 lat temu.

– A ja na tamtejszym zadupiu spędziłam sporo czasu. Miałam tam najbliższą rodzinę, czyli brata matki. Kiedy nawet londyńczy

skakali z radości, wspominałam moją rodzi-
nę. Wuj z Oakham wałnął w kalendarz już
dawno temu. Zostawił dwójkę dzieci zrobio-
nych z Angielką, która szybko zorientowała
się, że uroda to nie wszystko. Podczas ogła-
szania brexitu wyobraziłam sobie, że Paul po
piątym piwie w pubie skacze z radości gdzieś
pod Nottingham. Jego siostra Tina – dziś już
stara pularda – też się cieszy przed telewizo-
rem. Odwiedziłam ją raz bodajże w Stanford.
Zapamiętałam dialog, który odbyłyśmy: –
Hello, Magosia! Sam apel paj? – Jes, plis. –
Kapo cza? Nieco czasu minęło, zanim zro-
zumiałam, że ohydna szarlotkę mam popić
herbatą.

– To chyba jakaś ruska ta twoja angielska
rodzina musiała być, jak ci czaj proponowa-
ła. Ewentualnie indyjska, bo to indyjskie coś
z mlekiem, kardamonem, cynamonem, im-
birem i czymś tam jeszcze to też czaj, tylko
masala.

**– Nie wiem, jaka była herbata, kuzynka
była angielska. Tłumok nad tłumokami.
Wuj był skąpym, nudnym, niewykształco-
nym vegetarianinem.**

– Skąpym, nudnym, niewykształconym – ro-
zumiem, kultywował polskie tradycje na ob-
czyźnie. Ale żeby vegetarianinem?

**– Oszczędzał na wszystkim, więc na żarciu
też. I na edukacji dzieci. Uświadomiła mi
to dopiero przyjaciółka matki w Londynie.
Po tych cudownych rodzinnych doświad-
czeniach dalej mam rodzinę w Anglii. Skup
się: wuj miał jeszcze drugą żonę Niemrę**

Ingrid. Ona ma dwójkę dzieci z poprzednie-
go związku. Jest Martin gej i Gizla, która wy-
emigrowała do Australii. Ingrid dosyć szybko
rzuciła wujka dla młodego Polaka, który pra-
cował w jej hotelu w recepcji. Polak ją osku-
bał, przestała mu się więc podobać. Z Ingrid,
która ciągle żyje, i jej synem Martinem do
dzisiaj mam kontakt. I to jest moja angielska
rodzina. Sama rozumiesz, że do brexitu mu-
siało dojść.

– To absolutnie wyjaśnia sprawę.

**– Uważam, że następcą tronu brytyjskie-
go powinien zostać Duda. Doskonale by się
nadawał. Koronawirus na fbie i ten bojowy
wzrok i głos. To byłby dopiero król!**

– Wydaje mi się, że od pewnego czasu oni już
muszą mówić po angielsku. Tak mniej więcej
od 1917 r., gdy rodzina królewska w ramach
wzmoczenia patriotycznego i nastrojów antynie-
mieckich związanych z I wojną światową zmie-
nia swoje dumnie brzmiące nazwisko Sach-
sen-Coburg und Gotha na Windsor. A nasz
prezydent nie pozwala, żeby mu ktoś w obcych
językach narzucał i on też się w obcym nie na-
rzuca. Widziałś w necie filmik zatytułowany
wdzięcznie „Andrzej duka w Davos”?

– Nie, opowiedz.

– En disis... en disis... aj... aj ken... aj ken
tel ju yyyy... yyyy... weri, weri, weri... Dis,
ju noł, dis is maj ołn ekspiriens, jes? Soł aj
rimember, yyy... dis dejs ten... ten... ten ti ter
bihajnd de ajron kartyn yes, end nejto los
afer drim, jes? Nejto lon ymmmm, ymmm...
dis... dis... kold łor, jes? Nejto yyyy... nej-
to hew dis... dis... dis... weri weri taf po-
szczcr and weri taf bihewior, jes, end dec łaj
yyyyyyy...

**– Sama mi opowiadałaś ostatnio, że oni
tam na dworze debili mają w bród. Ale zawsze
jeden więcej się przyda zgodnie z polską za-
sadą, że od nadmiaru głowa nie boli. Mam
też przeróżne znajomości w Szwecji. Na przy-
kład Hania. W Polsce życie jej się popieprzy-
ło. Była sama z córką, brzydka, niezdolna i na
dodatek biedna.**

– Bardzo sobie cenię u ciebie, Małgosiu, tę
nieugiętą życzliwość wobec bliźnich. Anben-
dink kajdnes tu nejbers.

– Wal się.

– Skru ju tu.

**– Jakoś znalazła sobie Szweda otwartego na
jej wątpliwe wdzięki. Szwed nie był piękny,
ale niebiedny i porządny. Tu powstał prob-
lem, bo Hania zorientowała się, że jeszcze
w Polsce zaszła. Jakiś amator brzydkich i głu-
pich kobiet ją zaruchał.**

– Ty, co ona ci zrobiła? Kochanka przelecia-
ła? Flaszkę wypila, co se na kaca odłożyła?
Żelazko pożyczyla i nie oddała? Coś tak się do
kobity przyczepiła?

**– Gdzie tam się przyczepiłam, opowiadałam,
jak było. Hania, nie w ciemnię bita, rzuciła
się z płaczem Szwedowi w ramiona. Opo-
wiedziała, jak to zły komunista zerznął ją
w zamian za paszport. Inaczej nigdy by tu
nie przyjechała. Wtedy już płakali oboje.
Dziecko usunęli i żyli długo i szczęśliwie.
To znaczy on krócej. Zostawił jej całkiem
godziwy spadek. Żyje więc Hania w przy-
tulnym mieszkanku w Sztokholmie, ogląda
polskie seriale w telewizorze i narzeka. Na
kogo? Na tych cholernych emigrantów: ara-
busów, czarnuchów i inną hołotę. Głosuje
na szwedzkich nacjonalistów. Wykorzystuje
państwo szwedzkie na wszystkie możliwe
sposoby, bo już przez dziesiątki lat nauczyła
się tego. I byłaby może szczęśliwa, gdyby nie
ci emigranci. Duda na króla Szwecji? By się
nadał, a suwerena już ma.**

– Może sobie zamienić na 20 szylingów. Albo
3 guldeny. □

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

TRYBUN@
LUDZI

**Czy istnieje coś, czego Duda
nie podpisze?**



Facebook

Tomasz Browarny: Przedmiotów o temp. > 1500°C, bo
wtedy się stalówka od pióra topi.

Jakub Maciuch: Aktu małżeństwa Jarosława Kaczyń-
skiego.

Paweł Walczak: Umów międzynarodowych, bo w koń-
cu w obcym języku. A nie, zaraz...

Magdalena Strzycka: Ustawy kagańcowej dla le-
śnych ruchadeł.

Przemysław Grzenkowicz: Swojego utaskawienia,
choć powinien.

Tomasz von Dembinski: Tylko tego, co przeczyta ze zro-
zumieniem. No i na pewno amelinium.

Marta Sienkiewicz: Kartki świątecznej dla Stonogi.

Wojciech Brodowski: Panie władzo! On nie podpisze?
On? On wszystko podpisze. Bóg nas pokarał takim
chłopem...

Adrian Urbanek: Sprawdzianu z angielskiego.

Michał Siewert: Księgi gości w Srebrna Tower.

Adi Ibn Malka: Nie. Podpisze wszystko. Zawsze prze-
cież może podpisać papier potwierdzający, że nic nie
podpisał.

Grzegorz Paprotny: W sumie ciekawe, gdyby mu pod-
sunąć zrzeczenie się urzędu, to czy by się zorientował.

Paweł Ciesielski: Nie podpisze kamienia tak ciężkiego,
że Bóg (nie) byłby w stanie unieść. Albo stworzyć. Albo
nie. Czy coś w tym rodzaju.

Michał Karol: Podwyższenia kwoty wolnej od podatku.

Oskar Zakrzewski: Nowej płyty Magika.

Łukasz Michał Mirosław: Gipsu na własnej lewej ręce.

Michasia Mateńko: Zwolnienia na WF dla córki.

Krzysztof Matusik: Uwolnienia Barabasza.

Forum

Oska QqRydz-Qq: A prezes go wie.

IroB: Chyba jedynie aktu własnego zgonu. Chociaż kto
wie... Jeśli jest życie po życiu, to jeśli prezes każe, to
i to by podpisał.

BOG: Gdyby czegoś nie podpisał, to prezes mógłby za-
rzucić mu ciężkie naruszenie regulaminu usług.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE”
i Facebooka.

Drugi syn Matki Boskiej

Rafał Piech znany jest z tego, że miasto, którym rządzi, „zawierzył” matce Jezusa. Teraz wezwał innych samorządowców do szerzenia katolickiego światopoglądu.

Nagranie jest szokujące. Jego autorami są ludzie określający się jako Wojownicy Maryi. Zamieszczono je na YouTube. Pochodzi z listopada 2019 r., a widać na nim prezydenta Siemianowic Śląskich, miasta liczącego 68 tysięcy mieszkańców. Rafał Piech brał udział w ogólnopolskim spotkaniu Wojowników, które odbywało się w Łodzi. Stał z opuszczoną głową, gdy padły słowa: – Wyciągnijmy ręce nad Rafałem i pomodlimy się tak: Duchu Święty...

W tle słychać gwar licznych głosów: – Duchu Święty.

Prowadzący: – Proszę cię, abyś zstąpił na Rafała.

Chór: – Proszę cię, abyś zstąpił na Rafała.

Prowadzący: – Abyś mówił przez niego.

Chór: – Abyś mówił przez niego.

Prowadzący: – Namaść go mocą. Niech to będą twoje słowa, Duchu Święty. Zabierz mu wszelki lęk i strach. I włóż w jego serce tylko te słowa, które Ty chcesz przez niego nam powiedzieć.

Prezydent Piech słuchał modłów z opuszczoną głową. Gdy chór ucichł, podniósł ją. Na jego twarzy malował się wyraz rozkosz. Otworzył usta i przemówił. Po polsku, lecz nikt nie mógł mieć wątpliwości, że przemawiał przez niego Duch.

Po krótkim wstępie prezydent Piech oświadczył, że ma do opowiedzenia historię związaną z „Matką Najświętszą i jej Niepokalanym Sercem”.

Maryja była mieszkaniem

2 tygodnie wcześniej Piech został zaproszony do Bierunia, miasta odległego od Siemianowic Śląskich o 50 km. Był tam uczestnikiem rekolekcji dla młodzieży. Miejscowy ksiądz prosił go, by „dał świadectwo” licealistom, opowiadając o tym, jak „zawierzył” 67-tysięczne Siemianowice Śląskie „Niepokalanemu Sercu Maryi”.

– Zawierzenie to było to w 2015 roku. 8 grudnia – powiedział Piech. Przerwały mu oklaski. 360 licealistów (w grupach po 120) słuchało go w nabożnej ciszy. Gdy przyszedł czas na pytania, Piech prosił ich o pytania trudne. Zapamiętał szczególnie jedno z nich. Dotyczyło wyjątkowo doniosłego problemu.

Jakaś uczennica: – Panie prezydencie, czemu akurat Maryja? Dlaczego nie Jezus? Dlaczego nie jakiś święty?

Piech wyjaśnił, że Maryja przez 9 miesięcy „była mieszkaniem” Chrystusa.

Piech: – Jak słyszałem o lekturach, to aż mnie wykręcało, więc leciałem całe życie na ściągach.

Literaturą zaczął się interesować na studiach.

– To był ten czas, kiedy zacząłem się interesować literaturą św. Jacka. Literaturą, gdzie dużo było informacji na temat objawień.

Z każdej książki, którą brał Piech do ręki, wзираła do niego Maryja. Otwierał książkę i trafiał na następujące jej słowa: – Na jakkolwiek książkę się natknąłem, trafiałem właśnie na słowa Matki Boskiej, która mówiła: zawierzaj-

cie się mojemu Niepokalanemu Sercu. Zawierzajcie siebie, swoje rodziny, parafie, miasta, cały świat.

Piech wystartował w wyborach na radnego. Wtedy jeszcze jako reprezentant PO. Nie wyszło, ale za jakiś czas spróbował jako działacz społeczny. Przed głosowaniem poszedł do kościoła. Porozmawiał z Jezusem: – Panie Jezu. Jeśli chcesz, żebym był radnym, to ja ci obiecuję, że z diety raz w miesiącu będę ofiarowywał jedną mszę za dusze w czyśćcu cierpiące.

Gdy został radnym, zaczął myśleć o tym, by „zawierzyć” Maryi Siemianowice Śląskie. Pojechał z tym pomysłem do szefa miejscowego dekanatu. Przedstawił mu plan polegający na zwołaniu wszystkich proboszczów do kościoła w centrum miasta i odprawieniu tam uroczystości. A tu klops, bo ksiądz nie chciał. Powiedział Piechowi, że musi powstać oddolny ruch na rzecz „zawierzenia”.

Piech zaczął pracę organiczną na rzecz oddolnego ruchu. Do pomysłu przekonał kilka osób. Zostały wydrukowane petycje oraz listy, w parafiach zaczęto zbierać podpisy na rzecz „zawierzenia”.

Podpisy były zbierane do następnych wyborów. Uzbierało się ich – jak na to miasto – niezbyt wiele – ok. 4 tys. Piech trwał w uporze. Pomyślał, że warto byłoby zostać prezydentem.

Kiedy niebo jest najniżej

Tym razem na rozmowę z Bogiem wybrał jedną z gór beskidzkich. Wszedł na jej szczyt i oświadczył: – Panie Boże. Jeśli chcesz, bym to ja był prezydentem tego miasta, to obiecuję ci, że w pierwszym roku tej kadencji zawierzę miasto Niepokalanemu Sercu Maryi. Ale obiecuję ci również, że jeśli zostanie prezydentem, to każdego miesiąca codziennie przekażę ofiarę na mszę za dusze w czyśćcu cierpiące. Czyli 30 mszy miesięcznie.

Niebiosa sprawiły, że Piech wybory wygrał. Jak obiecał, tak zrobił. Dokonał aktu „zawierzenia” miasta. Wyjaśnił, dlaczego stało się to 8 grudnia: – O godzinie dwunastej, kiedy to niebo, zgodnie z obietnicą Matki Boskiej jest najniżej, kiedy można uprosić najwięcej łask, dokonałem aktu zawierzenia. Przygotowałem mośiężny klucz, gdzie napisałem: „Klucz do bram miasta”.

Akt został spisany przy udziale dziecka i proboszczów. Po uroczystej mszy jego treść Piech publicznie odczytał, a następnie klucz przekazał Maryi (nie wyjaśnił, w jaki sposób go odebrała).

– Od tego czasu to ona jest menedżerką miasta – oświadczył Wojownikom Maryi. – Ona nim zarządza.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (według słów prezydenta) znalazły się pieniądze na remonty dróg miejskich, budowę skwerów, rewitalizację pływaliń. Pieniędzy przybywa. Do miasta płyną również środki z Unii Europejskiej. Prezydent robi wszystko, co w jego mocy, kompletuje wspaiały zespół, a Bóg



ILUSTR. KRZYSZTOF OLENIK

toruje mu ścieżkę, usuwa belki rzućane prezydentowi Siemianowic pod nogi.

W Niepokalanowie Piech po raz pierwszy „dał świadectwo”, mówiąc, że to Matka Chrystusa jest menedżerką Siemianowic. Nagranie jego wystąpienia wyciekło w świat. Podchwyciły je media i zaczął się wielki „hejt”. O Piechu słano pytania, ile Maryja zarabia i jakie ma stanowisko w siemianowickim magistracie.

– I musieliśmy odpowiadać – przyznał prezydent. – Bo nie każdy rozumie, co to znaczy „menedżerka miasta Maryja” czy „królowa miasta”, która je prowadzi i wspiera.

Maryja dała mu drugie

Mimo „hejtu” Piech w kolejnych wyborach uzyskał poparcie wynoszące aż 84 proc. Był to drugi wynik w Polsce. Piech był przekonany, że celowo od Maryi dostał tylko drugie, by nie popadł w samozachwyt: – Pan Bóg mówi: masz tu drugi wynik i tym się cieszyć, bo jest dobrze.

Podkreślił, że sytuację, które były nie do rozwiązania przez kilkanaście lat, po „zawierzeniu” miasta rozwiązywane były w 3 tygodnie, miesiąc, 2 miesiące.

– Zawsze to okupione było prośbami, modlitwą: Jezu! Ty się tym zajmij. Ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale Ty załatw resztę, bo ja sam nie jestem w stanie – stwierdził Piech. – I tak się działo.

Następnie opowiedział, jak zmienili się jego współpracownicy. Podał przykład zastępczyni. Zadzwonił do niej. Nie odebrała. Za jakiś czas oddzwoniła. Oświadczyła, że nie mogła odebrać, gdyż odmawiała różaniec w aucie. Wcześniej nigdy tego nie robiła.

MATEUSZ CIEŚLAK

mcieslak@redakcja.nie.com.pl

DUDA NA BOSAKA

Strzelicie werbalizowany entuzjazm, z jakim Andrzej Duda podpisał ustawę represyjną, to oczywiście wybór strategiczny, a nie przejaw osobistych poglądów prezydenta. Prezydent nie ma poglądów, poza tym, że jest prawicowy; może być miękki albo twardy, w zależności od koniunktury i zalecenia. Jego ostatnia aktywność – wypowiedzi na temat sędziów, z których trzeba oczyścić Polskę jak z komuny, z obcych języków, w których nic nie damy sobie narzucić, czy obojętności wobec legalności działań neo-KRS („otrzymali oni nominację sędziowską od prezydenta Rzeczypospolitej. Kropka”) – dowodzi, że dziś zalecenie jest takie, że trzeba być twardym. Co wskazuje, że władza wierzy, iż da się połknąć elektorat Bosaka i wygrać w pierwszej turze.

To ambitny plan, zwłaszcza że sondaże są w tej sprawie bardzo zmienne. Na 9 styczniowych badań w czterech prezydent nie miał szans na zwycięstwo z marszu, nawet gdyby Bosak dostał tylko głos własny i szwagra, a Duda przejął jego całe dotychczasowe poparcie. W dwóch taka sytuacja dawała mu ponad 50 proc., w pozostałych trzech było na granicy.

Ale ważniejsza jest odpowiedź na pytanie:

czy Duda w ogóle ma szansę na głosy Bosaka?

Czy ludzie nacjonalistycznej prawicy są tak naprawdę z jednej gliny, nieco mocniej lub słabiej wypalanej, i wyborcy Konfederacji to troszeczkę rozczarowany elektorat PiS-u, który w odpowiednim momencie wróci do domu – jak często myślimy na lewicy?

Niewykluczone, że myślenie to jest uwarunkowane językowo. W wewnętrznym lewackim kodzie Konfederacja nazywana jest „naziolami” i kojarzona głównie z Marszem Niepodległości. Wybór wywodzącego się z nacjonalistycznego skrzydła formacji Bosaka na kandydata w tych wyborach dodatkowo utwierdza ten stereotyp.

Tymczasem wszelkie badania profilu elektoratów (szczególnie interesujący jest tu sondaż Kantar dla „Wysokich Obcasów”, poświęcony głównie preferencjom kobiet, ale przy okazji pokazujący też mężczyzn) – wykazują, że jest on błędny. Dominujący wyborca Konfederacji to rzeczywiście młody facet – wśród mężczyzn w wieku 19–34 ta formacja ma 35 proc. poparcia – ale bynajmniej nie wytatuowany blockers czy kibol Legii zatrudniony jako wykidajło.

To bogaty, wykształcony darwinista społeczny: sojusz Korwina, Bosaka i Brauna popiera aż 19 procent zarabiających powyżej 7 tys. zł miesięcznie, większość z nich ma wykształcenie wyższe lub przynajmniej średnie.

Inaczej mówiąc: siła tej formacji leży nie w naziolach, tylko w tym, co na lewicy nazywamy „kucami” dla uczczenia myślich kitek, które noszą do swoich biznesowych garniturków dla podkreślenia ideowej nieuległości. Kuce są, owszem, wysoce konserwatywne obyczajowo – nienawidzą pedałów i uważają, że miejsce baby jest w kuchni, stąd raczej niskie poparcie wśród kobiet – ale są też ekstremalnie liberalne gospodarczo. Głosują na Konfederację nie z patriotyzmu, tylko z naiwnej chciwości, w nadziei, że Korwin zniesie podatki i ZUS, spywatyzuje, co jeszcze pozostało do spywatyzowania, „ograniczy biurokrację”, czyli zlikwiduje większość regulacyjnych funkcji państwa. To grupa, która wcześniej zje własnego kuca, niż zagłosuje na przedstawiciela etatystycznego, redystrybucyjnego, nacjonalizującego kolejne firmy PiS-u.

Badania wskazują, że co najmniej połowa wyborców Konfederacji przy braku konfederalnego kandydata zostanie w domu. Zważywszy, że średnie notowania Bosaka wynoszą 4 proc., najwyższe nie przekraczają 6 – połowa jego elektoratu raczej nie przepchnie Dudy przez próg 50 proc. w pierwszej turze.

Co zabawne, w drugiej turze na obecnego prezydenta – właśnie jako przedstawiciela formacji etatystycznej, redystrybucyjnej i nacjonalizującej, przeciwko kandydatce partii konserwatywno-liberalnej, pełnej hipokryzji i sprzyjającej bogatym – mogliby ewentualnie zagłosować ideowi wyborcy Razem: symetryści skupieni na kwestiach społeczno-gospodarczych.

Atoli ostatnie zachowanie Pana Prezydenta czyni go definitywnie obrzydliwym nawet w symetrycznych oczach.

Điękujemy, Panie Prezydencie.

AWŁ

Kurwety

Doradca Dudy oraz bliski współpracownik Macierewicza lobbowali za zakupem okrętów tak wspaniałych, że zostały zatopione.

Zakup fregat typu Adelaide od Australii miał kosztować Polskę od 2 do 3 mld zł. Za te pieniądze zamierzaliśmy kupić dwie fregaty budowane w latach 80. XX w., które miały pływać i udawać, że są bronią nawodną. Trzecia tego nie miała udawać, ponieważ wyznaczono jej funkcję magazynu części zamiennych dla dwóch pozostałych.

Czy teraz ten schemat się powtarza? W grudniu zeszłego roku minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak ogłosił, że trwają negocjacje ze Szwecją w sprawie zakupu dwóch 30-letnich okrętów podwodnych dla Marynarki Wojennej. To, że wybór padnie na Szwedów, już trzy lata wcześniej przewidziała mająca dar jasnowidzenia matka Jezusa Maryja. Jej najważniejsza medialna tuba w Polsce, czyli Radio Maryja ogłosiło to już w 2016 r. ustami Michała Jacha, przewodniczącego sejmowej komisji obrony narodowej. Wtedy jednak mowa była o kupowaniu nowych okrętów podwodnych, a nie zabytków.

Chłopak z Rolls-Royce'a

Posel Jach to jeden z najbardziej zaufanych współpracowników Macierewicza. Jachowi przeciwie (jako szefowi komisji) podlegała podkomisja smoleńska, której Macierewicz przewodniczył. Dziś posel Jach nadal stoi na czele tej ważnej komisji sejmowej. Jest również członkiem zarządu Rady Budowy Okrętów.

Z naszych informacji wynika, że to on właśnie miał wskazać Cezarego Cierzan, byłego żołnierza wojsk specjalnych, który bez żadnego doświadczenia ani wykształcenia został wiceprezesem stoczni należącej do Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W stoczni tej być może będą malowane kupione od Szwedów łodzie podwodne.

Obaj panowie bardzo aktywnie działali na rzecz zakupu wspomnianych Adelaide. Wraz z nimi funkcjonował Szymon Hatlas. Z Jachem był członkiem Rady Budowy Okrętów. W poprzedniej kadencji Sejmu posługiwał się wizytówką: „Członek Rady Budowy Okrętów w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, sekretarz Zespołu ds. Strategicznej Koncepcji Bezpieczeństwa Morskiego RP przy BBN, doktorant w Akademii Sztuki Wojennej”.

Szymon Hatlas, Cezary Cierzan i komandor porucznik Maciej Janiak napisali „Strategiczną Koncepcję Bezpieczeństwa Morskiego RP”. Wynikało z niej, że mniej istotna jest budowa własnych okrętów wojennych, nad których wyposażeniem i serwisem będziemy mieli pełną kontrolę. Wymyślili natomiast, że lepiej będzie kupić od Australii wysłużone fregaty, których ten kraj już nie chciał. Fregaty te były wyposażone w silniki firmy Rolls-Royce, które trzeba by wyremontować. Dziwnym trafem Hatlas stał się wówczas pracownikiem Rolls-Royce Marine. Gdy okazało się, że Polska nie kupi Adelaide, znalazł pracę w norweskiej Kongsberg Maritime, ściśle powiązanej z Rolls-Royce Marine, za to wykonującej zlecenia na rzecz Królewskiej Szwedzkiej Marynarki Wojennej.

Lecz parasol był zepsuty

Wspomnianą „Strategiczną Koncepcję...” prezentował posłom dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi Biura Bezpieczeństwa Narodowego gen. bryg. Jarosław Kraszewski. Przy okazji tej prezentacji generał poinformował posłów, że trwają rozmowy na temat zakupu Adelaide.



Według generała Kraszewskiego z BBN: „Fregaty znacząco poszerzają parasol obrony przeciwlotniczej. Nie tylko nad terytorium RP w sensie lądowym, ale także terytorium morskim”. Tyle że nie dotyczyło to archaicznych Adelaide. Miały one gorszy radar niż np. okręt patrolowy „Ślązak”. Mogły jednocześnie walczyć jedynie z dwoma samolotami. W czasie walki z samolotami nie mogły się bronić rakietami przed atakiem ze strony innych okrętów. Nie potrafiły też wykryć nowych rosyjskich rakiet.

Oczywiście Adelaide miały też pewne zalety. Były nowszymi wersjami dwóch fregat typu OHP, kupionych przez nasz rząd od Amerykanów. Ponadto my otrzymaliśmy od Amerykanów fregaty z niesprawnym systemem obrony przeciwlotniczej, którego do dziś nie udało się uruchomić. Co nie zmienia faktu, że zarówno fregaty OHP, jak i Adelaide już w pierwszym dniu konfliktu zbrojnego na Bałtyku zostałyby zatopione. Ale do ganiań za piratami się nadają.

Głupi Australijczycy

Rada Budowy Okrętów – jak nazwa wskazuje – powstała po to aby stworzyć plan współpracy polskiego przemysłu stoczniowego z Marynarką Wojenną. Istnieją przeciwie programy „Czapla” i „Miecznik”. „Czaple” to planowana przez MON seria okrętów patrolowych, a „Mieczniki” to korwety. Oba te rodzaje okrętów są dużo bardziej potrzebne – mają m.in. dysponować potężną obroną przeciwlotniczą, chroniącą również wybrzeże od ataku z morza. Kadłuby okrętów miały być budowane w polskich stocznich, lecz nie są. Opóźnienie nastąpiło m.in. ze względu na to, że w pewnym momencie postawiono na Adeleide.

O tym, dlaczego nie wolno kupować australijskich fregat, mówili doświadczeni dowódcy. Gen. Waldemar Skrzypczak wskazywał, że Adelaide nie widzą najnowszych rosyjskich pocisków. Kmdr por. rez. Maksymilian Dura kpił, że wartość Adelaide „jest tylko chwilowa – do momentu, aż Rosjanie nie wystrzelą rakiet”. Ale te głosy niknęły w zalewie entuzjastycznych publikacji. Wskazywano w nich, że Adelaide, choć stare, przeszły kosztowną modernizację. Rzekomo wykorzystaliśmy okazję, która się nadarzyła, gdyż Australijczycy są tak głupi, że pozbywają się bardzo dobrych okrętów. I musimy się spieszyć, ponieważ są nimi zainteresowane również Filipiny, Grecja, Turcja oraz Ukraina.

Duda podtopiony

W lutym 2017 r., zaraz po opublikowaniu „Strategicznej Koncepcji...”, Angelika Jarosławska w imieniu kłastera Bezpieczny Bałtyk informo-

wała, że Adelaide ostatecznie zamordują polski przemysł stoczniowy. W czerwcu 2017 r. Polskie Lobby Przemysłowe i Polska 3.0 zorganizowały w Gdyni konferencję „Ogólnopolskie Forum Odnowy i Modernizacji Marynarki Wojennej RP”. Jarosławska w imieniu organizatorów spotkała się Mateuszem Morawieckim, który był wówczas ministrem rozwoju, i Jerzym Kwiecińskim, wiceministrem w tym ministerstwie. Przeciwno zakupowi Adelaide zaprotestował również minister gospodarki morskiej Marek Gróbarczyk.

W lecie 2018 r. prezydent Andrzej Duda wybrał się z wizytą do Australii i Nowej Zelandii. Towarzyszył mu minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Był tylko jeden powód tej wizyty – podpisanie listu intencyjnego w sprawie zakupu Adelaide. Gdy okazało się, że sprawę zablokowali Morawiecki i Gróbarczyk, premier Australii odwołał spotkanie z Dudą.

Spotkała się z nim jedynie minister spraw zagranicznych.

Zaskoczona „Polityka” pisała wówczas: „Sprawa fregat z Australii podtapia wiarygodność Polski. Na najwyższych szczeblach PiS i rządu zablokowano zakup fregat Adelajda. To porażka Marynarki Wojennej i sojuszniczej wiarygodności Polski”.

„Gazeta Wyborcza” nie była pewna, co o tej sprawie sądzić. „Premier »zatopił« prezydentowi fregaty Adelaide”: „Przeważał opór ze strony polskich stoczni, a także części ministrów rządu”. Następnie przytaczała słowa anonimowego pracownika Kancelarii Prezydenta RP: „Sprawa wygląda niepoważnie”.

Na dnie z honorem

Skoro sprawa wyglądała niepoważnie, przyjrzyjmy się temu, jaki los spotkał australijskie fregaty. HMAS Adelaide i HMAS Canberra zostały zatopione. Ich wraki służą jako atrakcja dla miłośników nurkowania.

Oficjalnie nazywało się to „utyлизacją”. Jak wiadomo, nie ma nic za darmo. Za pogrzeb okrętu wojennego również trzeba zapłacić. Koszt utylizacji Adelaide wyniósł po 10 mln zł.

HMAS Newcatle czeka na ten sam los, jeżeli jakaś inna Polska nie zechce go nabyć. W tym kontekście w zeszłym roku wymieniane było Chile. Ale od czerwca 2019 r. okręt jest na stałe przycumowany do nabrzeża portu w Sydney. HMAS Melbourne zakończył służbę w październiku 2019 r. i również czeka na drugą szansę lub stanowić będzie atrakcję dla pletwonurków.

Polska miała być rzekomo zainteresowana HMAS Newcatle i HMAS Melbourne jako najnowszymi z okrętów typu Adelaide. Dodajmy więc, że zamówione zostały w 1980 r., a zwodowane w 1989 r. Były to czasy, gdy według strategii Układu Warszawskiego polskie jednostki szturmować miały wybrzeże Danii.

W tym samym czasie, gdy minister Błaszczak ogłosił, że nasi podwodniacy mają szansę otrzymać 30-letnie okręty podwodne, Finlandia też coś ogłosiła. Za 1,3 mld euro zbudowane zostaną i uzbrojone 4 duże wielozadaniowe korwety (lekkie fregaty) typu Pohjanmaa. Mają być zdolne do zwalczania okrętów podwodnych i nawodnych, do zwalczania celów powietrznych oraz stawiania min.

1,3 mld euro to ok. 5,5 mld zł. Połowa z 5,5 to 2,25. Złośliwa arytmetyka twierdzi więc, że dwie wiekowe fregaty, bezbronne wobec nowoczesnej broni (których chcieli przewodniczący Komisji Obrony Narodowej pan Jach i prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego), kosztowałyby tyle samo lub więcej, co dwie nowiutkie fregaty. Z najnowszymi systemami bojowymi i przystosowane do działań na Bałtyku.

Dziwne? Troszeczkę. Może do momentu, gdy się pomyśli o różnicach. A różnice są takie, że Finowie myślą o tym, jak zadbać o bezpieczeństwo kraju. Zaś PiS myśli o tym, jak zadbać o zachowanie władzy. Dlatego w ekspresowym tempie przez Sejm przeprowadzono ustawę o rekompensacie dla TVP i Polskiego Radia za utracenie wpływy z tytułu niepłaconego abonamentu radiowo-telewizyjnego. Rekompensata ma wynieść 1,95 mld zł. Za te pieniądze Jacek Kurski nadal będzie mógł uprawiać propagandę polityczną oraz organizować sylwestry z udziałem gwiazd disco polo w Zakopanem.

MATEUSZ CIEŚLAK

mcieślak@redakcja.nie.com.pl

Dajcie im kierowcę z samochodem, a wykroczenie na pewno sami znajdą.

Drogówka zarabia dla budżetu jakieś 750 mln zł rocznie. Wielu praktyków sądzi, że drugie tyle trafia do kieszeni policjantów. Zakładając jednak, że do kieszeni płaci się 2–3 razy mniej, niż wynika to z taryfikatora, wychodzi, że do kieszeni funkcjonariuszy trafia 200–300 mln zł. Ponieważ kontrolami kierowców zajmuje się 5 tysięcy mundurowych, łatwo policzyć, że kokosów nie ma, bo średnie 50 tys. zł na gliniarza drogowego na rok w łapę nie powala.

Tak samo zresztą jak przychody państwa z karania kierowców. Widać zatem, że rząd i drogówka mają wspólny interes, żeby ostrzeż kar kierowców. Oczywiście w imię poprawy bezpieczeństwa na drogach, zmniejszania liczby wypadków i innych tam bzdetów opowiadanych przez policjantów, ministrów i premiera Morawieckiego.

Statystyka zabrania w to wierzyć, bo na drogach nie dzieje się nic, co wymagałoby rewolucji w obowiązujących przepisach. Od lat systematycznie spada tak liczba wypadków, jak poszkodowanych w nich osób. Zabitych również. Rośnie natomiast apetyt budżetu na kasę.

I to jest właśnie powód zaostreżenia przepisów i tego, co dzieje się w kontrolach ruchu od początku roku. A dzieje się.

Polujący na kierowców policjanci nie muszą już, parkując w miejscach niedozwolonych, włączać koguta w radiowozy. Mogą stanąć na chodniku czy wyspie przystankowej i suszyć. Nawet jeśli ich bryczka wcale nie wygląda na auto policyjne. Uzasadnieniem tego jest efektywniejsza kontrola. Tu przynajmniej nie ma ściemy o zapobieganiu czy celowym spowalnianiu ruchu w miejscach, gdzie zdarzają się wypadki. Przekaz jest jasny – policjanci stają tam, gdzie wiedzą, że kogoś złapią.

A złapią na pewno. Nie po to komendanci drogówki dostali na ten rok plany finansowe wymagające wyciągnięcia z mandatów przeciętnie 2 razy

W kopalniach węgla kamiennego mamy sytuację przedrewolucyjną: górnicy domagają się dużych podwyżek płac, organizują masówki i chcą przyspawać pociągi do szyn. Oczywiście jest, że rewolucja w górnictwie nadejdzie, ale nie będzie wyglądała tak, jak to się wydaje górnikom: będzie to ograniczenie liczby kopalń i liczby górników. Stanie się to po wyborach prezydenckich.

W górnictwie węgla kamiennego w ostatnich dniach zdarzenia przebiegają bardzo szybko. 30 stycznia w Katowicach bez efektów zakończyły się negocjacje związkowców z zarządem Polskiej Grupy Górniczej (PGG), która jest – jak lubią dumnie mówić górnicy – największą firmą węglową w Unii Europejskiej. Ta wielkość przekłada się na wielkość kłopotów, z jakimi PGG się boryka. Związkowcy domagają się m.in. podwyżki płac o 12 proc. w 2020 r. PGG odpowiada, że na takie podwyżki jej nie stać, i przypomina, że w latach 2017–2019 przynależała dodatkowo na wynagrodzenia i świadczenia dla pracowników 1,1 mld zł więcej, niż planowano przy tworzeniu spółki.

Dzień po nieudanych negocjacjach, czyli 31 stycznia, związkowcy powołali pogotowie strajkowe. Związkowcy chcą ustalenia wysokości wypłaty 14. pensji za 2019 r., podwyżki wynagrodzeń na 2020 r., chcą także rozwiązania problemu braku przychodów z węgla zakontraktowanego przez spółki energetyczne oraz sprzeciwiają się próbom likwidacji kopalń. Sztab protestacyjny zorganizował 3 lutego masówki protestacyjne w kopalniach PGG.

Poza wewnętrznymi postulatami w PGG związkowcy domagają się także powstrzymania importu węgla do

REBUS 1



Komu w drogę, temu stop

więcej niż w tamtym roku. W tym celu przygotowano policjantom kilka nowych przepisów i odkurzono takie, o których nie pamiętali nawet najstarsi funkcjonariusze. Mundurowych obowiązuje rozkaz prosty i czytelny – w każdym zatrzymanym wozie trzeba znaleźć coś, za co delikwent zapłaci.

Haków policjanci mają szukać od początku. Po to wpisano do prawa resortowego obowiązujące już przepisy pochodzące ze Stanów Zjednoczonych, gdzie każdy wosi ze sobą spłuwę. I teraz każdemu kierowcy, który nie będzie trzymał obu rąk na kierownicy albo w czasie kontroli wyjdzie z samochodu, grozi 500 zł mandatu. A ponieważ nie da się trzymać obu rąk na kółku, gdy jedną z nich otwiera się szybę, żeby usłyszeć policjanta, to powód do ukarania już jest. Drugi też, bo gliniarzowi trzeba będzie jakoś podać dokumenty. Tymczasem za serię kolejnych wykroczeń stawka mandatu może wynieść 1000 zł.

I nie ma sposobu, żeby zakwestionować mandat. Bo co prawda w radiowozie cały czas działa kamera, ale jest to tak wymyślone, że z jej obiektywu za cholerę nie widać rąk kierowcy. Tak samo z kamery, którą wielu kierowców ma zamontowaną w swoim samochodzie. Ona widzi to, co za szybą. Czyli na wejściu mandat już się ma.

Aby kierowcę sprowadzić w negocjacjach o mandacie do parteru, gliniarzom powyciągano prerogatywy dawno przez nich niestosowane. Mają sprawdzać, czy układ kierowniczy nie ma luzów albo czy w dowodzie rejestracyjnym jest atest na przeciemia szyby. No i coś, co każdego posiadacza klimatyzacji od razu latem czyni winnym – sprawdzenie, czy nic nie wycieka. Czyli olej, płyn hamulcowy albo paliwo. Ale przecież żaden mundurowy nie będzie się wczłgał pod auto. On kucnie, zobaczy, że coś kapie i wykroczenie już ma. A że to coś to po prostu woda z klimatyzatora? Taki detal kierowca może udowodnić, ale wtedy, gdy niesprawny z powodu wycieków samochód odstawi lawetą do stacji obsługi i otrzyma tam stosowne

zaświadczenie o sprawności pojazdu. A będzie ono niezbędnie konieczne do odzyskania w urzędzie zatrzymanego z powodu niesprawności dowodu rejestracyjnego.

Myk na wyciek, kosztujący kierowcę kilka dni bez samochodu, kasę dla laweciarza, szmal za badanie techniczne i opłatę za odzyskanie dowodu rejestracyjnego jest niezwykle dla właścicieli wozów przekonujący. I nader motywujący do przyjęcia oferty funkcjonariusza, znaczy 50 zł dla państwa – bo mandat trzeba wystawić, przecież czynności są filmowane przez policyjną kamerę – oraz 2–3 stówy do kieszeni policjanta. Kierowca i tak jest na plusie, bo 500-złotowy mandat i jaja z zatrzymaniem dowodu na pewno wyniosłyby więcej niż tysiąka.

W zeszłym roku testowano sposób karania kierowców za niesprawne wydechy. Wykryto ok. 3 tys. nieprawidłowości w związku z emisją spalin. W tym roku liczba kontrolowanych rur wydechowych ma się potroić i dać 4 razy więcej mandatów.

Do tej pory policja dysponowała setką dymomierzy i analizatorów spalin. Teraz zamówiono drugie tyle, bo okazało się, że urządzenia amortyzują się w tydzień. Akcja „Smog”, prowadzona dotychczas sporadycznie, ma się stać działaniem permanentnym. Nawet jeśli patrol nie będzie ustrojstwa miał, to i tak do spalin może się przyczepić.

Funkcjonariusz może zatrzymać dowód rejestracyjny również wtedy, gdy nie dysponuje urządzeniem do pomiaru jakości spalin. Wystarczy, że coś mu się nie widzi. I wtedy – zgodnie z art. 132 prawa o ruchu drogowym – w razie uzasadnionego podejrzenia funkcjonariusz drogowki ma prawo zatrzymać dowód rejestracyjny oraz skierować pojazd na dodatkowe badania techniczne. A kierowca ma prawo negocjować.

Eksperci od spalin twierdzą, że każdy pojazd sprzed dwóch czy trzech dekad emituje tyle samo zanieczyszczeń, co 2 tuziny produkowanych obecnie nowoczesnych aut. I dlatego uzasadnione w pełni podejrzenie wzbudzi w każdym policjancie wiek auta.

Polowanie na spaliny nie ma oczywiście celu finansowego. Komenda Główna Policji uwielbia zatem powtarzać, że wydechy bada się dlatego, że „z powodu smogu i powikłań wynikających ze złej jakości powietrza w Polsce umiera 45–50 tys. jest osób rocznie”. O tym, że samochody odpowiadają za ledwie 4 proc. tych zanieczyszczeń, komunikaty nie wspominają.

Od 1 stycznia 2020 r. każdy właściciel pojazdu zakupionego w Unii Europejskiej jest zmuszony do zarejestrowania go w ciągu trzydziestu dni. Po co, skoro ma ważne badania i ubezpieczenie? A na dodatek jeżdżąc po Polsce, tankuje paliwo, płacąc VAT, akcyzę i hurtową marżę dla Orlenu lub Lotosu?

Policjanci wiedzą, po co. Ich zdaniem bardziej chodzi o mandaty niż o zysk ubezpieczycieli i opłatę za rejestrację. W miesiąc – zdaniem policjantów – większości samochodów i tak nie da się zarejestrować, bo nie przejdą badań technicznych. Najpierw trzeba by wyklepać i ponaprawiać. Gdy w międzyczasie taka bryczka wpadnie na patrol drogowki, to – niekoniecznie z własnej winy – jest ugotowana. Właściciel płaci.

Największą tegoroczną bzdurą jest jednak obligatoryjne sprawdzanie przez policję liczników. Dlatego że nawet 80 proc. importowanych aut miało cofnięte liczniki. A takie cofanie wprowadzało w błąd potencjalnych nabywców używanych pojazdów. Co gorsza zaś, miało wpływ na to, że nie wiedzieli oni, kiedy wymienić paski, olej, płyny.

Znający się na samochodach, gdy słyszeli tę argumentację, zataczali się ze śmiechu, bo każdy wie, że w kupionym od kogoś aucie te rzeczy trzeba wymienić, bo nikt przed sprzedażą nie będzie wydawał kasy na eksploatację. Przebieg zaś nie miał z tym nic wspólnego i na jego wartość zwracali uwagę tylko krety.

Jeszcze bardziej kretyńskie okazały się przepisy mające z cofaniem liczników skończyć. Bo jeśli auto przy-



Ilustr. Wojciech Kępczyński

jeżdża z zagranicy z przekreślonym licznikiem, to jego przekreślony stan przy rejestracji w Polsce łąduje w bazie CEPiK. Nikt nie wymaga, aby go weryfikować, szukając zapisów historii w komputerach od skrzyń biegów czy ABS. Liczy się to, co wyświetla główny komputer na kokpicie. Danych z innych krajów Polska nie ma, historia licznika zaczyna się więc dopiero w Polsce. Gdy policjant spisie ją z deski i wyjdzie mu, że jest mniej kilometrów niż według CEPiK, to zaczyna być niewesoło.

Rozbieżność licznika z wpisem daje podstawę do prowadzenia postępowania karnego na podstawie podejrzenia popełnienia przestępstwa. A zgodnie z kodeksem karnym za dokonywanie korekty licznika grozi kara do 5 lat pierdła. Spisywanie stanu licznika należy do stacji robiących przegląd techniczny. Gdy się panu mechanikowi omsknie palec, to zaczną się cuda.

Samochód trafia na policyjny parking jako dowód przestępstwa. Właściciel ma postawiony zarzut. Policjanci muszą sprawdzić milion rzeczy, bo trzeba udowodnić, kto i z czyją pomocą dokonał przestępstwa. Prokurator ma przegrywać, bo to wszystko trzeba zebrać do kupy i przedstawić w sądzie. A z reguły nie ma czego przedstawiać. Właściciel powie, że nie wie, o co chodzi, cofanie liczników nie zostawia namarów na tego, kto to robi, nie ma szans więc na skazanie kogokolwiek.

Nie wspominając już o tym, że z miesięcznych doświadczeń policji

wynika, że większość błędów brała się ze złego wpisania do CEPiK, czy to przez przegląd, czy panią w starostwie, która rejestrowała samochód. A przecież wystarczy, że gdy w rzeczywisty stan licznika wynoszący 120 tys. km ktoś z przodu omyłkowo wpisze cyfrę 1 – i wtedy TVP Info mówi o sukcesie policji, która złapała auto z przekreślonym o milion kilometrów licznikiem.

Akcja ze spisywaniem liczników najbardziej bezsensowna jest dla policjantów. Bo nie daj Boże trafią na niezgodność i mają przegrane – zamiast zbierać mandaty dla siebie i państwa, będą kwitli w korytarzach komend, prokuratur i sądów, wiedząc, że nie mają szans na wykreślenie kogoś, kto cofnął licznik, bo to zrobiono dawno i nie w Polsce. A na dodatek najbardziej poszkodowani na tym są ci, których policja ma ścigać, czyli właściciele aut z przekreślonym licznikiem.

Na wszelki wypadek funkcjonariusze drogowki starają się, aby wszystkie kontrole odbywały się pod pozorem przesiewowych badań trzeźwości, podczas których przebiegów sprawdzać nie muszą.

A jednak drogowka patrzy na Morawieckiego z nadzieją. Bo ten chodzi i zapowiada dobre dla funkcjonariuszy i budżetu państwa rzeczy. Jak choćby pomysł każący kierowcom zwalniać, gdy widzą, że ktoś się zbliża do przejścia. Dzięki temu papierologia policyjna się skróci i wiadomo będzie, że nie zaistnieje już coś takiego jak wtargnięcie pieszego. Zawsze winny będzie kierowca.

Jeszcze lepsza jest koncepcja podniesienia do 1500–2000 zł wartości maksymalnego mandatu. Dawałoby to znaczny przyrost tak dla budżetu państwa, jak i osobistych budżetów policji drogowej.

Tak samo miły funkcjonariuszom jest panapremierowy zamysł, aby kierowcy płacili stosownie do zarobków. Po pierwsze policjanci z drogowki mieliby wtedy dostęp do PIT-ów, a po drugie nie musieliby się droczyć z biedotą o każde 100 zł w łapę, bo jeden sensowny kierowca wypaszonego wózka dziennie dałby tyle, ile kilku-nastu piratów w 20-letnich złomach.

TADEUSZ JASIŃSKI

Kopcie tylko żony



Ilustr. KRZYSZTOF OLENIK

Polski, przede wszystkim z Rosji. Jeden z głównych związków zawodowych działających w górnictwie, Sierpień 80, już zorganizował blokadę torów, którymi dowożony jest węgiel do Elektrowni Łaziska. Sierpień 80 zapowiada kolejne blokady torów, związek nie wyklucza nawet przyspawania pociągów do torów. W kopalniach poszukiwani są chętni do wzięcia udziału w blokadach.

W reakcji na żądania związkowców minister aktywów państwowych Jacek Sasin zapowiedział, że spółki skarbu państwa nie będą sprowadzały węgla z zagranicy, po tym jak zakończyła obecnie obowiązujące kontrakty. Węgiel będą mogły nadal z powodzeniem importować prywatne spółki. Powód importu węgla jest prosty – węgiel z zagranicy jest tańszy niż polski. W górnictwie od lat mówi się o ograniczeniu kosztów wydobycia, ale wciąż nie udało się tego osiągnąć. I się nie uda, ponieważ kopalnie kopią węgiel w coraz głębszych złożach, co

wymaga dodatkowych inwestycji, zatem zamiast taniej jest drożej.

Górnicy grają ostro i licytują wysoko, bo wiedzą, że los i harmonogram wyborczy im sprzyja. W maju odbędą się wybory prezydenckie i dla Andrzeja Dudy oraz dla PiS bardzo źle by wyglądało, gdyby w województwie śląskim trwały protesty pracownicze. Dlatego górnicy wiedzą, że jeśli teraz nie wywalczą czegoś dla siebie, to tak sprzyjająca sytuacja szybko się nie powtórzy.

PiS bez wątpienia ma kłopot z górnikaми. Ciepła zima spowodowała, że zapotrzebowanie na węgiel do produkcji prądu i ciepła jest mniejsze, niż planowano, w efekcie czego przy kopalniach i w elektrowniach rosną zwały węgla. Tylko przy kopalniach na zwałach leży prawie 5 mln ton węgla i pomimo tego że nikt go nie chce kupić, górnicy to czarne złoto kopią nadal.

Szukając chwilowego rozwiązania, rząd wpadł na absurdalny pomysł zro-

Polskie górnictwo ostatnie poważne kłopoty przeżywało na początku rządów PiS. W 2016 r. na gruzach Kompanii Węglowej, największej wtedy firmy górniczej, powstała Polska Grupa Górnicza. Rząd zmusił wtedy spółki energetyczne do „zainwestowania” w PGG ponad miliard złotych. Do grona szczęśliwców ratujących największą w UE firmę górniczą należały PGNiG Termika (spółka z gazowej grupy PGNiG), PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna (z grupy PGE), Energa Kogeneracja (z gdańskiej grupy Energa) oraz poznańska Enea.

Teraz też mówi się o zaangażowaniu energetyki w ratowanie PGG, ale obecnie sytuacja jest inna i tak łatwo nie będzie. Zmieniło się nastawienie rządu do górnictwa. Wtedy ministrem energii był były działacz „Solidarności” Krzysztof Tchórzewski, a wiceministrem energii odpowiedzialnym za górnictwo Grzegorz Tobiszowski,

mający silną pozycję w PiS. Teraz sytuacja jest taka, że Ministerstwa Energii nie ma, za górnictwo odpowiada Ministerstwo Aktywów Państwowych kierowane przez Sasina, działacza o nieskomplikowanej konstrukcji intelektualnej. Wiceministrem od górnictwa jest Adam Gawęda, który ma słabą pozycję w branży, regionie i PiS. Najlepszym dowodem słabości Gawędy są górnicze protesty, których za Tobiszowskiego nie było.

Inną ważną dla górników zmianą jest powstanie Ministerstwa Klimatu, na czele którego stoi Michał Kurtyka, kształcony na francuskiej politechnice. Kurtyka jest zwolennikiem rozwoju energetyki odnawialnej. Za odnawialną energetyką opowiada się także Jadwiga Emilewicz, minister rozwoju. Opcja górnicza w porównaniu z opcją zieloną w obecnym rządzie wygląda więc słabiej i będzie coraz słabsza.

3 i 4 lutego w Polsce bawił prezydent Francji Emmanuel Macron. Z podpisanego przy tej okazji polsko-francuskiego partnerstwa strategicznego wynika, że Polska i Francja będą kontynuować wysiłki na rzecz realizacji celu neutralności klimatycznej na poziomie Unii Europejskiej do 2050 r. A chyba dla nikogo nie jest tajemnicą, że neutralności klimatycznej nie da się osiągnąć przy masowej produkcji prądu z węgla. To z kolei oznacza, że wcześniej czy później Polska będzie musiała znacząco ograniczyć potencjał polskiego górnictwa i energetyki węglowej.

Jak wiadomo, w grudniu 2019 r. na szczycie Unii Europejskiej Polska nie zgodziła się na przyjęcie celu neutralności klimatycznej do 2050 r. Wielce prawdopodobne, że Polska zaakceptuje ten cel na szczycie w czerwcu 2020 r., który odbędzie się już po wyborach prezydenckich w Polsce.

Odchodzenie od węgla w Polsce nie będzie jednak żadną nowością, to proces trwający już od kilku lat. Jeszcze kilka lat temu w Polsce produkowaliśmy ponad 90 proc. prądu z węgla, dziś jest to ok. 75 proc. i nawet z oficjalnych rządowych prognoz wynika, że ten udział nadal będzie spadał. Elektrownie i ciepłownie już teraz kupują mniej węgla niż kiedyś. Coraz mniej węgla będą potrzebowali także właściciele domów jednorodzinnych, którzy coraz częściej zastępują węgiel gazem ziemnym lub panelami słonecznymi i pompami ciepła. Tej zmiany już nikt nie powstrzyma – choćby górnicy przyspawali nie wiadomo jak dużo pociągów z importowanym węglem. Z tego oczywiście PiS zdaje sobie sprawę, choć nie mówi tego górnikom.

Rząd PiS szykuje nowe porządki w górnictwie. Wiceminister Gawęda zapowiedział, że Ministerstwo Aktywów Państwowych planuje konsolidację aktywów wydobywczych, aby uporządkować ten rynek. Sprytnie nie zdradził na razie szczegółów. Można się spodziewać, że przy okazji konsolidacji kilka najsłabszych kopalń – przynoszących straty lub takich, którym wkrótce skończy się węgiel – zostanie zlikwidowanych. PiS już zamykał kopalnie, więc nie byłoby to zaskoczeniem. Pracownicy z zamykanych kopalń mieli możliwość przeniesienia się do innych kopalń, a ci, którym zostało niewiele do emerytury, mogli przejść na nią wcześniej. Dzięki temu obyło się bez zwolnień. Czy podobne rozwiązanie zostanie zastosowane teraz, co pozwoli uniknąć wielkich napięć społecznych, które przygotowują górnicy pragnący trwałości wydobycia i wzrostu płac?

GRZEGORZ MITRENGA

Umieramy przed terminem

Od trzech lat żyjemy coraz krócej.

Narodowy Fundusz Zdrowia zareagował już w 2017 r., bo przeszła przez Polskę myśl, że przyłożył rękę do produkcji trupów, zmieniając wyceny świadczeń opieki zdrowotnej z zakresu kardiologii interwencyjnej. Sporządził raport, w którym odciał się od tych spekulacji i wymienił inne „potencjalne przyczyny”.

Może umieramy przed terminem dlatego że jako społeczeństwo jesteśmy coraz starsi? Może w 2017 r. za mało było słońca, a za dużo wiatrów? Może uśmierca nas smog? Grypa? Jak ktoś jest ciekaw tych rozważań, zapraszam na stronę nfz.gov.pl.

Limit – kasa, kasa – limit

Do tej pory obowiązywała zasada, że szmal idzie za pacjentem. Owszem, lecznice zawierały kontrakty z NFZ na wykonanie określonej liczby świadczeń. Ale jak była potrzeba, obsługiwały więcej pacjentów i wystawiały NFZ rachunki za tzw. nadwykonania.

– Nie będziemy reagowali na próby wymuszania na NFZ płacenia za świadczenia. Te czasy się skończyły – zapowiedział w ubiegłym roku Andrzej Jacyna, wówczas prezes.

Wyjaśnił, że przymknął kurek z kasą, kierując się dobrem Polaków. Przecież tańsze jest leczenie ambulatoryjne. – Każdy organ założycielski dążył do rozwoju szpitalnictwa i wymuszał na płatniku płacenie za drogie procedury. Sieć szpitali musi zostać dopasowana do możliwości finansowych i kadrowych – wyjaśnił.

Jak wygląda to z drugiej strony? Grzegorz Dembski był przez 17 lat dyrektorem szpitala. – Cudotwórca z Grajewu – tak o nim mówiono. Grajewo to 22-tysięczne miasteczko na pograniczu Podlasia i Mazur. Tamtejsza lecznica przyjęła za dewizę cytaty z Hanny Krall: „W medycynie liczy się każde życie – każda najmniejsza szansa uratowania życia”. Staraniem Dembskiego stworzono 11 oddziałów, zatrudniono dobrych specjalistów. Przyjeżdżali pacjenci z okolicznych miast.

– 14 lat na plusie i za ostatni rok 2 mln w plecy – mówi Dembski. – Narzekałem na politykę SLD, potem PO, ale to co się teraz dzieje... Pierwszy raz nie dostaliśmy pieniędzy za zabiegi wykonane poza limitem. Do niedawna szły za pacjentem. System był niedoskonały, ale działał. Dbaliśmy o jakość. Zasada była jasna: zadowolony pacjent to pieniądze.

– Nigdy nie było tak, że NFZ bez protestów łykał rachunki. Zwykły kontrolować, czy leczenie było niezbędne, a procedury wykonane zgodnie z regułami sztuki – przypomina. – Często spory rozstrzygały sądy, ale w końcu dostawaliśmy swoje.

Teraz NFZ płaci tyle, ile lubi. Za to, co zakontraktował. Wszystko, co szpital wykona ponad limit, to jego ryzyko. A limity skrojono tak, aby jak najwięcej kasy zostało w budżecie.

Ratuj się najlepiej sam

Z ostrym zapaleniem wyrostka nie pogadasz. Nie mówiąc o zawale.

W poszerzonym składzie medytował nad tym Sąd Najwyższy. Pretekstem był spór spółki

medycznej z Poznania z NFZ. Ona ponadlimitowo uratowała życie pacjentów z rozpoznaną niewydolnością oddechową. Za sztuczne wspomaganie oddychania zażądała zwrotu 188 tys. zł. NFZ nie chciał płacić. Sąd Okręgowy w Poznaniu uznał, że musi. Placówka wykonała bezwzględny obowiązek. Sąd Apelacyjny w Poznaniu był innego zdania. Świadczenie ponadlimitowe jest bezumowne. Więc kasa tak, ale nie według taryfikatorów. Szpital musi wyliczyć faktyczne koszty.

na urzędowe: „Fundusz realizuje w pełni swoje zobowiązania wynikające z umowy ze szpitalem”. Trzeba przecież wiedzieć, że „aktualnie nie dysponuje wolnymi środkami umożliwiającymi finansowanie świadczeń zdrowotnych przekraczających określone w umowie wartości”.

Rozwiew będzie coraz większy, skoro na leczenie niedrobnokomórkowego raka płuca NFZ w kolejnym roku zaproponował 4,3 mln zł, a trzeba 13 mln zł więcej.

KOWALSKI, ODWIEDZINY!



Sąd Najwyższy uznał, że świadczenia ratujące życie z natury rzeczy i mocy ustawy muszą być udzielone. – W efekcie należy się za nie zapłacić jak za te wykonane w ramach kontraktu, które niczym się nie różnią – uzasadniła sędzia Marta Romańska.

Najtaniej, jak można

Zdaniem ekspertów przełomowa uchwała nie przesądza czy i jak NFZ zapłaci za świadczenia w stanach nagłych, takich jak udar krwotoczny, odklejenie łożyska, zawał, sepsa, padaczka. Lekarze mogą uważać, że bez interwencji pacjent odepłynie do Bozi. NFZ wręcz przeciwnie. Takie spory to nasza codzienność.

Fachowcy apelują, aby NFZ jasno określił, których pacjentów można bezpiecznie nie przyjmować. – Nie wolno zrzucać odpowiedzialności na szpital! – podnoszą. – Karnej – jeśli nie udzieli koniecznej pomocy. I finansowej – jeśli jej udzieli. Nie sądzę, żeby doczekali się reakcji. Niejasna sytuacja jest korzystna dla rządzących. NFZ oszczędza nawet na programach lekowych i chemioterapii, które w założeniu są finansowane bez limitów.

– Nieprawda – zapewnia NFZ. Portal rynekzdrowia.pl podaje konkrety. Weźmy Szpital Kliniczny z Lublina. Wiosną 2018 r. prosił o dodatkowe 2,4 mln zł. – Tu się zgina dziób pingwina – odpowiedział NFZ. Przekładając z polskiego

Tak przymuszone szpitale stosują najtańsze procedury. Minister zdrowia opowiada o innowacyjnym leczeniu raka? Ha, ha, ha... To dopiero dowcip.

Jakoś to będzie albo nie

Przez ostatnie 4 lata zlikwidowano 64 szpitale. I nie było tak, że zamykano placówki niepotrzebne, mające pod boki konkurencyjne lecznice. Nikt nie rozważał, co z pacjentami. Szpital na minusie – więc do piachu. Zwłaszcza jeśli organem prowadzącym jest powiat. Samorząd tego szpitala może spowodować wywrótek powiatu.

Trwa bój o szpital w Żywcu. Ma 130 lat, wybudował go książę Habsburg. Pod opieką pozostaje 150 tysięcy mieszkańców i 50 tysięcy turystów. Stracił płynność, bo NFZ ustalił ryczałt na świadczenia na poziomie wykonania w 2015 r. Ten rok był bardzo zły, starostwo prosiło, żeby przyjąć średnią wykonaną z 3 lat.

Nie udało się przekonać urzędników. Dziś szpital wykonuje 40 proc. zabiegów więcej, niż wynika z umowy. Prawie nie ma planowanych operacji, 90 procent pacjentów jest krojonych „na ostro”. Co powoduje, że nie sposób ciąć świadczeń, przekładając zabieg na przyszły rok lub wysyłając pacjentów do oddalonych o 120 km Katowic. 40 proc. nadwykonań to na minusie kilkanaście milionów w skali roku...

Szpitale ogłaszają

„Dyrekcja zaprasza do złożenia oferty na świadczenie kredytu konsolidacyjnego na spłatę zaciągniętych kredytów”. Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Rawie Mazowieckiej.

„Komunikat dla wierzycieli. Szanowni państwo, 28 stycznia 2020 r. przypada III rata płatności ukladówek. Nie zostanie zrealizowana, bowiem finansowanie/środki potrzebne na płatność nie zostały pozyskane”. Szpital Giżycki sp. z o.o.

„Zapraszamy do nowo otwartej poradni chirurgii urazowo-ortopedycznej dla dzieci. Poradnia do czasu uzyskania kontraktu z NFZ będzie udzielać porad pełnopłatnych”. Szpital w Żywcu.

„Informuję, że szpital wdrożył rozwiązania celem umożliwienia płatności bezgotówkowych. W tym celu użytkuje 3 terminale płatnicze w najbardziej strategicznych miejscach, tj. Szpitalny Oddział Ratunkowy, Centralne Laboratorium i Kasa główna”. Zespół Zakładów Opieki Zdrowotnej w Wadowicach.

„W imieniu Dyrekcji oraz Pracowników pragnę złożyć serdeczne podziękowanie na ręce Pani Danuty Pietrzeli (...) za pozyskanie środków finansowych z Funduszu Prewencyjnego PZU Życie S.A. oraz zakupienie z tych środków 150 szt. obuwia roboczego...”. Regionalny Szpital w Kołobrzegu.

„Dzięki współpracy z niemieckimi policjantami oraz Kliniką w Bad Berka k. Weimaru (...) na teren szpitala wjechały 3 tiry, które z Niemiec przywiozły 168 łóżek. Łóżka są używane, ale funkcjonalne i w bardzo dobrym stanie technicznym, a ich ilość pozwoli na wymianę we wszystkich oddziałach szpitala. Przekazana darowizna wpłynie znacząco na poprawę komfortu hospitalizowanych”. Szpital Powiatowy im. św. Maksymiliana w Oświęcimiu.

„Dyrekcja informuje, że do odwołania Pracownia Fizjoterapii nie realizuje zaplanowanych zabiegów z powodu absencji wszystkich pracowników. Absencja ta ma charakter protestu”. Szpital w Żywcu.

„Fakt pozostawiania przez (tu imię i nazwisko) w stosunkach prawnych z innym podmiotem, który notabene wykonywał świadczenia na rzecz Szpitala w zakresie zabezpieczenia dyżurów pielęgniarskich powodował sytuację, że pani znów (imię i nazwisko) teoretycznie była w 2 miejscach jednocześnie, tj. pełniła dyżur w przychodni i w tym samym czasie świadczyła pracę na oddziale jako pielęgniarka oddziałowa, co nie jest fizycznie możliwe”. (Wojewódzki szpital im. Św. Ojca Pio w Przemyśle).

„Z przykrością informuję, że (...) lekarz naszego szpitala pełnił dyżur pod wpływem alkoholu. Jestem w trudnej sytuacji, ponieważ był to już drugi przypadek w tym roku i dotyczył tego samego lekarza (...)”. Anita Karnaciewicz, dyrektor zarządzająca Szpitala Giżyckiego.

Identyczna sytuacja w Sejnach. W 2015 r. było mało pacjentów, bo szpital rozbudowywano. Dziś ryczałt nijak się ma do potrzeb.

Zakład pielęgnacyjny

– Szef, który nie jest marionetką, musi mieć jakieś instrumenty rządzenia – mówi Grzegorz Dembski, ten od cudów w Grajewie. – Powinien ustalać politykę kadrową, placową – wylicza. – PiS nam to odebrał. Liczbę pielęgniarek, wynagrodzenia białego personelu określa góra... I nie daje pieniędzy wystarczających na zapłacenie tych rachunków. Ja nie mówię, że oni nie powinni dobrze zarabiać. Ale szpital to też analitycy medyczni, fizjoterapeuci, radiolodzy czy administracja. Nikogo nie można traktować jak pracowników drugiej kategorii, opieka nad pacjentem to działanie zespołowe – przypomina. – Zrezygnowałem, nie będę pracować na zawal – kończy.

W ocenie Dembskiego PiS chce zlikwidować większość szpitali powiatowych i zamienić je w zakłady pielęgnacyjne. Też są potrzebne, a finansowane przez pensjonariuszy czy samorządy.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Więści gminne i inne

■ Prawdziwi policjanci z Wydziału do Walki z Przestępczością Przeciwko Mieniu w Katowicach oszukali 17-latkę podsuwając mu kopertę, w której zamiast 25 tys. zł były pocięte gazety. Młodzieniec zjawił się u starszego pana (lat 70) w domu, podając się za policjanta, który zabezpiecza przechowywaną gotówkę przed kradzieżą. Wcześniej zadzwonił umawiając spotkanie i uprzedził, aby emeryt nikogo nie informował o tej specjalnej akcji policji. Emeryt okazał się wiarołomny i poinformował o wszystkim policję. W rezultacie tej parady oszustw i obłudy siedzieć pójdzie 17-nastolatek, co z prawdziwym smutkiem przyjęli do wiadomości jego rodzice.

■ W Legnicy przy ul. Przybosia, 25-latek, podczas libacji alkoholowej, omal nie skrócić karku upadając na ziemię, co przecież mogło skutkować pęknięciem podstawy czaszki i dożywotnim kalectwem. Przy-



czyną owego wypadku była kałuża moczu, którą wysikał pies gospodarzy. W zemście za zamach na swoje życie, 25-latek złapał psa za kark i wyrzucił przez okno z 9 piętra. Pies nie przeżył. To naturalne zachowanie mężczyzny, dało jednak asumpt policji, do postawienia mu zarzutów, znęcania się nad zwierzętami ze szczególnym okrucieństwem a sądowi powód, by aresztować go na 2 miesiące.

■ W Parku Górczewska w Warszawie zgodnie z zapotrzebowaniem mieszkańców okolicznych domostw, którzy nie tylko chcieliby po parku spacerować, siedzieć tu na ławkach, ale także poleżeć, władze miasta postawią leżanki. Koszt budowy jednej wyniesie ma 8,5 tys. zł, a ponieważ zainteresowanie leżaniem w parku zadeklarowało piętnastu obywateli Bemowa, leżanek będzie właśnie tyleż. Całko-

wita wartość inwestycji wyniesie zatem 156 tys. zł. Za tę kwotę można by kupić 15 600 leżaków plażowych, w ramie drewnianej i z tekstylnym siedziskiem, na których 10 procent populacji Bemowa mogłoby leżeć całymi dniami.

■ Centralne Biuro Antykorupcyjne poinformowało cały świat na swoim Twitterowym koncie, w znanym języku angielskim, że „mayor of Italy” ma stawiane zarzuty w związku z aferą korupcyjną. CBA miało prawdopodobnie na myśli burmistrza warszawskiej dzielnicy Włochy. Burmistrzowie Woli, Bródna, Pragi i Wesołej muszą uczynić zatem wszystko, aby nie podpaść tłumaczom z biura antykorupcyjnego. Gdyby jednak im się nie udało, zostaną zapamiętani przez światową opinię publiczną jako: mayor of Will, mayor of Dirty, mayor of Prague oraz uwaga! mayor of Gay.

■ Niewidomy od ponad 20 lat Janusz G. z Gorzowa Wielkopolskiego został potrącony przez samochód na przejściu dla pieszych. Uderzył głową w maskę pojazdu. Następnie bezwładnie osunął się pod koła w rezultacie czego połamał sobie miednicę. Trafił do szpitala, gdzie po dwóch tygo-

dniach leczenia miednicy odzyskał wzrok. Obecnie wzrok pana Janusza jest tak dobry, że lecąc go szpital, powierzył go spozstrzegawczości ochronie nad placówką, zatrudniając go jako ochroniarza. Albo cud, albo w tym Gorzowie naprawdę mają medycynę na poziomie XXII w.

■ Licealistka Maja z Warszawy zakochała się w żubrze Mruku, który rezyduje w zagrodzie w Kiernasach. Panna Maja twierdzi, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. „Patrzyłam na niego z podziwem i już wtedy wiedziałam, że będę go kochać do końca życia” – twierdzi z niekłamną szczerością. Żubr okazuje miłość licealistce przez lizanie, a ona kocha go głaszcząc po karku. Niestety dramat nadchodzi wielkimi krokami, bowiem właściciel Mruka kiermierz zlikwidować zagrodę wraz z Mrukiem, na odstrzał którego otrzymał stosowne zezwolenie od Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Jeżeli Maja nie ubierza 150 tys. zł na nową zagrodę dla ukochanego, jej miłość do końca życia skończy się wraz z końcem życia Mruka.

■ Szczęście nie oszczędza mieszkańców Łomży, gdzie w kolekturze Lotto przy alei

Nie ma kaca po papieżu

Wadowice – miasto papieskiego wina i pisowskich interesów.

Rondo im. Leopolda Okulickiego znajduje się w centrum Wadowic. Krzyżują się tutaj drogi krajowe z Krakowa, Bielska i Oświęcimia. Właśnie w tym miejscu, przy stacji BP miasto miało spłachetek gruntu, dzięki któremu mogło snuć plany rozbudowy sieci komunikacyjnej i postawieniu drugiego mostu na Skawie.

Mogło też ziemię sprzedać za duże pieniądze. Wystarczyło ogłosić przetarg.

1.

Jednymi z bardziej rozpoznawalnych ludzi Wadowic są państwo Frączkowie. Biznesmeni. Winiarze szanowani przez Kościół kat. i PiS. Efektem tych związków jest konfekcjonowane przez Frączków wino, nazwane na cześć JP II Carlum. Nie Carolum, bo 16 października 1978 r. kardynał Pericle Felici ogłaszający światu dobrą nowinę przekreślił imię Wojtyły, co miało wpłynąć na historię papieżstwa i jak widzimy winiarstwa.

Portal inicjatywawadowice.pl winiarzy nie lubi: „Jan F. to domniemany szef tzw. Łódzkiej Ośmiornicy Bis, skazany za kierowanie grupą przestępczą o charakterze zbrojnym. (...) Ewie Filipiak najwyraźniej nie przeszkadzały związki z gangsterem. Burmistrz organizowała w jego restauracji własne imieniny oraz przyjmowała oficjalne delegacje zagraniczne”.

Jakiś czas temu rozmawiałam z Anną Frączek. „99,9 proc. złych informacji na nasz temat jest wyssana z palca, a reszta jest zmanipulowana – oświadczyła. – Również te o wyroku skazującym pani męża za udział w grupie, która wyłudziła 42 mln zł podatku Vat? – Tak”.

Sąd Okręgowy w Łodzi wie co innego. „W wyżej wymienionej sprawie zapadł wyrok 2 lutego 2015 r., prawomocny od 9 lutego 2015 r. Oskarżony Jan F. został skazany na podstawie art. 258 par. 3 kk na 2 lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na 3 lata, dozór kuratora w okresie próby i grzywnę”.

Art. 258 traktuje o udziale w zorganizowanej grupie lub związku przestępczym. Par. 3 mówi o prowadzących („kto grupę albo związek zakłada lub taką grupę albo związkiem kieruje”).

2.

Wino Carlum jest dedykowane świętemu oraz jego rodzinnym stronom. Na etykietce herb Wadowic, szkie bazyliki i rodzinnej chałupy JP II. A także papieska myśl: „Tu, w tym mieście, w Wadowicach, wszystko się zaczęło”.

Etykieta powstała w czasach, kiedy Wadowicami rządziła Ewa Filipiak (była burmistrzem Wadowic przez 20 lat, od dwóch kadencji jest posłanką PiS). Ratusz nie widział nic złego w promocji promili.

Kościół kat. przyjął imię świętego na flaszcze z alkoholem ze zrozumieniem.

Zwłaszcza archidiecezja łódzka, na której stronach można dowiedzieć się o walorach cienkuszka produkowanego przez „małżeństwo wadowickich przedsiębiorców”. Powód: „wino jest uznawane za szlachetny trunk i jest ważną częścią Eucharystii”. Poza tym producenci zadeklarowali, że winogrona pochodzą z winnic położonych koło letniej rezydencji papieża Castel Gandolfo, tych samych, z których sporządzano trunki dla pierwszych po Bogu.

3.

2 dni przed wyborami samorządowymi, 14 listopada 2014 r. rada, w której burmistrz Ewa Filipiak miała większość, przyjęła uchwałę nr 32 o zamianach działek z Anną Frączek. Stosunkiem głosów 14:6 samorządową ziemię przy rondzie gen. Okulickiego postanowiono zamienić na będącą jej własnością nieruchomości.

Tak jak się spodziewano, Filipiak przegrała wybory. Regionalna Izba Obrachunkowa zebrała do kupy 34 niejasne ratuszowe biznesy i decyzje. Prasa pisała, że RIO złożyła do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Nie przeszkodziło to PiS-owi w umieszczeniu Filipiak na liście wyborczej. 3915 głosów wystarczyło, żeby została posem.

4.

Wybory na burmistrza Wadowic wygrał dr prawa Mateusz Klinowski. – Uchwała o zamianie działek stwarza możliwość transakcji. Nie obliuguje do niej. Pozostanie w szufladzie, bo grunt miejski jest dużo więcej warty. Ziemia Frączków ma taką konfigurację i powierzchnię, że nic nie można na niej zbudować – ocenił.

Podzielił się wątpliwościami z narodem, więc restauratorzy i Filipiak pozwali go. Obie sprawy wygrał. A portal Wadowice24 odszczał, że Klinowski nadużywa władzy, pragnąc doprowadzić do finansowej ruiny Frączków. Jego właściciel wycofał się ze swoich stwierdzeń tym razem pozwany przez Klinowskiego.

5.

W ostatnich wyborach samorządowych PiS odbił miasto. W kilka miesięcy po przejęciu fotela świeżo upieczony burmistrz zrealizował starą uchwałę o zamianie działek. Czy musiał zapłacić zaległe rachunki posłanki Filipiak?

Okazuje się, że wcale nie chodzi o polityczny biznes. „Od chwili pod-

jęcia uchwały, Pani Anna Frączek kilkakrotnie wzywała Burmistrza do jej wykonania, podnosząc, że jej wykonanie przez organ wykonawczy Gminy jest jego obowiązkiem, a zaniechanie dokonania tej czynności, narazi Gminę na roszczenie o odszkodowanie” – wyłożył burmistrz Kaliński w liście do „NIE”.

6.

Wiewióry twierdzą, że Anna Frączek mogła się upominać o parę groszy. Z listu do burmistrza: „Czy prawdą jest, że miejski prawnik oszacował koszty, o jakich zwrot mogą występować małżonkowie w przy-

padku niezrealizowania uchwały na niespełna 1000 zł?”.

Kaliński: „Odpowiedź na pytanie dot. kosztów o jakie mogą występować małżonkowie i odszkodowaniu, zostanie Pani udzielona po podaniu, o jakie małżeństwo chodzi”.

7.

5 lat to szmat czasu, działka przy rondzie ma znaczenie strategiczne. Na zdrowy rozum Kaliński powinien jeszcze raz skonsultować rzecz z radnymi.

Red. Dawid Kierczak z lokalnego portalu mamnews.pl odpytał rajców i urzędników, czy wiedzą, że doszło do transakcji. Odpowiedzi: – Ja nie mam takiej fotograficznej pamięci. – Nie wiem nic. – Pierwsze słyszę...

Kaliński do redakcji NIE: „Zaden przepis prawa nie zobowiązuje wójta (burmistrza, prezydenta miasta) do konsultowania wykonania uchwał rady gminy z radnymi”.

8.

Kaliński: „Nieruchomości pozyskane (...) zgodnie z obowiązującym miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego (...) znajdują się na terenie dróg i ulic publicznych...”. Słowa „zgodnie z obowiązującym miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego” wytłuszczone.

Aż żal, że w sierpniu 2018 r. radni przyjęli Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy Wadowice. Wynika z niego, że na działkach Frączków nie powstanie żadna obwodnica. Są to „tereny pod zabudowę usługową i zieleni nieurządzonej, w tym obszary szczególnego zagrożenia powodzią”.

Kaliński do „NIE”: „Studium nie stanowi aktu prawa miejscowego, jakim jest miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego”.

Prawda. Każdy dzieciak wie, że nie może być podstawą do wydawania decyzji administracyjnych. Jednak „ma charakter aktu kierownictwa wewnętrznego, obowiązującego w systemie organów gminy. Wiąże wójta, burmistrza, prezydenta przy sporządzaniu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego i służy koordynacji tych planów”. Co można przeczytać choćby w Wikipedii.

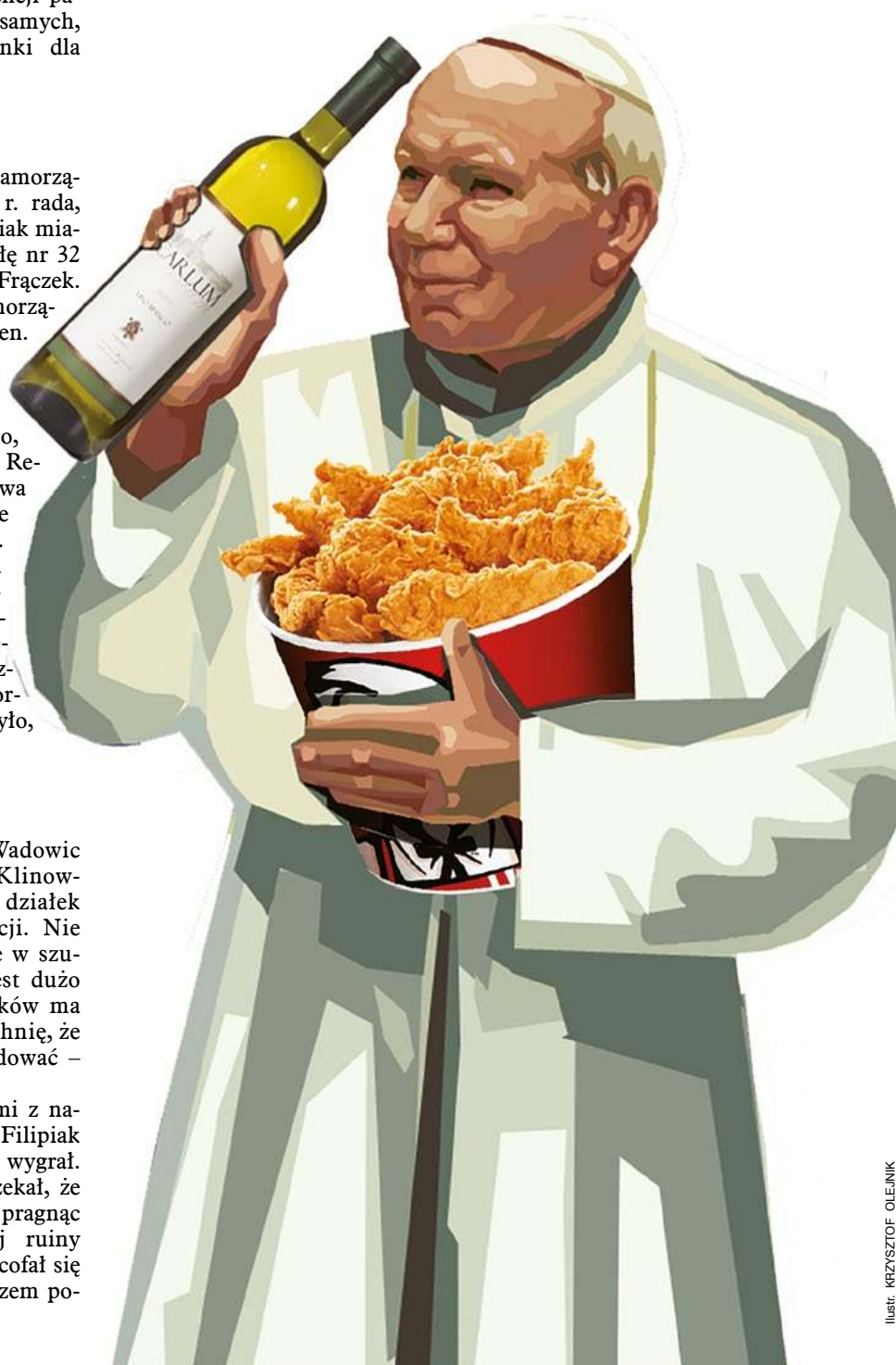
9.

PiS ma dla miasta dobrą wiadomość. Wkrótce na byłej strategicznej miejskiej działce przy rondzie gen. Okulickiego powstanie restauracja znanej amerykańskiej sieci Kentucky Fried Chicken.

Półwytrawne Carlum Bianco bardzo pasuje do drobiu. W internecie od 38 zł za flaszkę.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl



Ilustr. KRZYSZTOF OLENIK

Legionów po raz drugi w ciągu roku padła rekordowa wygrana. 2 lutego 2019 r. było to ponad 6,5 mln zł, a w styczniu obecnego – ponad 29 mln zł. Były to zarazem dwa najważniejsze wydarzenia gospodarcze w życiu tego miasta od zakończenia II wojny światowej.

Funkcjonariuszki urzędu skarbowego w Wadowicach przekroczyły prawdopodobnie nieco swoje uprawnienia, zawiadamiając miejscową policję o konieczności aresztowania i doprowadzenia do urzędu podatników, którzy uporczywie uchylali się od płacenia mandatów skarbowych. Przez 2 lata policja chodziła po domach, zakuwała w kajdany i czasowo więziła 77 obywateli papieskiego miasta. Co najgorsze urzędniczkę przyznały się, że ich nadzwyczajna gorliwość w ściąganiu opieszaleńskich płatników nie wynikała z troski o budżet państwa, tylko z chęci uzyskania osobistych korzyści w postaci premii, jaką wypłaca się w kwocie adekwatnej do zwindykowanych należności. Nie ferujemy jednak pochopnie wyroków. Niech najpierw wypowie się sąd, przed który prokurator zaciągnął sumienne niewiasty.

Olśtyńskie media piszą o dramacie mieszkańców kamienicy przy ul. Orkana i Łukasińskiego w Olśtynie. Po latach procesów budynek należący rzekomo do zasobów komunalnych, w którym władze miasta zameldowały 19 osób, okazał się należeć do spadkobierców prawowitych niemieckich właścicieli, którzy to nigdy nie

zostali wykreśleni z księgi wieczystej. Niemieccy spadkobiercy zachowują się wobec mieszkańców czule i wyrozumiale, jednak chcieliby, aby opuścili oni ich posesję. Najlepiej dobrowolnie, a jak nie, to już oni sobie z Polakami poradzą. Kilkunastu nowych bezdomnych w Olśtynie to wielki problem nie jest, oczywiście do momentu, kiedy się

okaże, że większość kamienic w mieście, pochodzących sprzed wojny, ma nietknięte hipoteki, w których wpisani są jacyś właściciele o imionach Hans lub Greta.

Zastęp harcerski ZHR podczas nocnych podchodów w lesie opodal Gródka nad Dunajcem został ostrzelany z broni śrutowej przez nieznanego zawodnika. Jeden z mundurowych z śrutem w dupie trafił do szpitala. Jakiej narodowości był pocisk oraz którą grupę nacisku cudzoziemskich interesów reprezentował strzelający, ustala góralska policja.

Przeciw uciskowi systemu finansowego, który dostarcza do krwioobiegu gospodarczego tyle gotówki, że w gruncie rzeczy każdemu z nas jej brakuje, wystąpił 28-latek z gminy Celestynów, który uruchomił w domu własną, prywatną drukarnię kryptozłotówek o nominałach 50 i 100 jednostek. Zasadniczo były to bardzo dobre banknoty, jednak, jak wszystko co zupełnie nowe, obarczone jest pewnymi wadami, wynikłymi z niedopracowania technologii. Drukarz dokonał pieniędzy kilku udanych transakcji, między innymi w restauracji i stacji benzynowej. Jednak odbiorcy gotówki stwierdzili, że banknoty się rozklejają. Zaniepokojeni

tym brakoróbstwem powiadomili policję w Otwocku, która dość łatwo namierzyła antysystemowca. Niestety rewolucja finansowa się nie odbędzie, bo za robienie konkurencji Narodowemu Bankowi Polskiemu idzie się do więzienia na 25 lat.

Naukowcy z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu pracują nad mikrolaboratorium o wymiarach kostki, o długości boku 10 cm, w której zamierzają zasadzić grzyby i wysłać je w kosmos, ponieważ jak mniemają grzybów w kosmosie jeszcze nie było.

Ustrzycka policja chwali się nadzwyczajnymi predyspozycjami etycznymi swoich funkcjonariuszy. Kierowca, mający zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych, chciał ich przekupić kwotą 10 dolarów amerykańskich, ale ci się nie dali. Ciekawe, czy gdyby dolarów było tysiąc, czytaliście w ogóle tę informację.

R.J.

Informacje pochodzą z prasy regionalnej całej Polski, gdzie w zależności od regionu inne jest wyobrażenie o prawdzie obiektywnej. Należy traktować je z ostrożną powagą oraz unikać generalnych wniosków, a także nie wyciągać z nich jakichś skutków prawnych.



Rytmiki TOMASZ WATKIN

Sądowirusy

Sądy wolne, czyli nieszybkie.

„Niestety mamy jeszcze wiele do zrobienia”. – Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro obiecuje kontynuację reformy sądów. Przypomina, że w przeliczeniu na 100 tysięcy mieszkańców dorobiliśmy się największej poza Niemcami liczby sędziów w Europie. Natomiast ich efektywność jest najniższa.

Ulica zgadza się z ministrem Ziobrą: trzeba zmian. Tak samo uważają sędziowie. Różnica pojawia się podczas szukania odpowiedzi: co zmieniać?

Zrobił

Ziobro stoi na czele resortu 6 lat, jest najdłużej urzędującym ministrem sprawiedliwości w najnowszej historii. Na konferencjach prasowych uprawia samochwalstwo. Faktyczne „sukcesy”, oprócz tych, przeciwko którym szedł „Marsz tysiąca tóg”, to zalew nowelizacji niedawno uchwalonych ustaw, projekty nowych pisane na kolanie, ustawy przygotowywane pod konkretne przypadki.

„Strzałem w dziesiątkę” uznał Ziobro wprowadzenie losowania przy przydzielaniu spraw. Wcześniej decydował o tym przewodniczący wydziału, dziś – teoretycznie – ślepy los. Teoretycznie, bo niedawno Polska śmiała się z tzw. efektu Krystyny Pawłowicz. 3 razy do spraw, w których posłanka PiS była stroną, został wylosowany ten sam sędzia. A w trakcie posiedzenia Krajowej Rady Sądownictwa Pawłowicz opiniowała jego awans do Sądu Okręgowego w Warszawie.

Wracam do zarzutów PiS – kiedyś przewodniczący dawał kumpom rzeczy łatwe, a pozostałym kolubryny. Poza tym gdy do sądu trafiła sprawa szwagra, mógł ją podsunąć koledze, zapewniając rodzinie zwycięstwo.

Tyle że przewodniczący wiedział, który sędzia jest zawałony robotą i kto planuje urlop. Komu dać sprawę, żeby była jak najszybciej osądzona. Rozumiał, że ludzie patrzają mu na ręce i gdy pojawi się zarzut kumoterstwa, nie będzie mógł się schować za maszyną losującą.

Dawniej jeśli w sprawie cywilnej sędzia szedł na długie zwolnienie, kończył ją ktoś inny. Teraz zostaje odroczone. Gorzej czy lepiej? Na pewno dłużej.

W sądach odwoławczych zapanowało *horrendum*. Składy są przecież 3-osobowe. Przypominam: niezmiennalność. Niby lepiej, że wszyscy są od początku. Ale jeżeli termin jest wyznaczany co kilka miesięcy, i tak sędzia prowadzący musi przypomnieć fakty.

– System powoduje znaczące opóźnienia – słyszę.

Na świecie sędzia to korona kariery prawniczej. U nas mianuje się absolwentów Krajowej Szkoły Sędziów i Prokuratorów z Krakowa. Doświadczenie życiowe? Wystarczy zdana aplikacja, 29 lat i przychyłność rządzących.

Zrobi

PiS uważa, że system odciąży wprowadzenie sędziów pokoju, bo sprawdzili się w USA. Sędzią będzie mogła zostać osoba, która skończyła 35 lat, ma doświadczenie życiowe i została wybrana w powiatowych wyborach powszechnych. Nie musi mieć wykształcenia prawniczego; wyda wyrok, kierując się zasadą słuszności. Rozsądzi drobne spra-

wy – jak odmowa przyjęcia mandatu, kradzież, wadliwy remont. Czyli dzisiejsze sprawy o wykroczenia.

Ale takie sprawy sąd rozstrzyga w trymiga. Z szacunków wynika, że w skali kraju to zajęcie dla trzystu sędziów. A do obsługi sędziów pokoju trzeba nowych sal i obsługi administracyjnej. Pewnie prawników do konsultacji. W europejskim prawodawstwie utrwalone jest, że musi być system odwoławczy. Czyli koniec końców część spraw i tak trafi do normalnego sądu.

Trzeba zrobić

Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, zajmujący się działalnością naukowo-badawczą z zakresu tworzenia, stosowania i społecznego funkcjonowania prawa, skończył właśnie analizować ankietę, na które odpowiedzieli wybrani losowo sędziowie. Wnioski zawarto w pracy „Efektywność pracy sądów powszechnych”. Zbierając rzecz do kupy, sędziom przeszkadza:

Niestabilność prawa. PiS wprowadza mnóstwo zmian, nowelizacje do nowelizacji. Chaos jest taki, że nawet doświadczonemu prawnikowi trudno znaleźć przepis, który akurat obowiązuje. Ważny jest jeszcze stary czy już nowy? „To są minuty, które w skali roku składają się na dni. Gdyby prawo było stabilne, nie musiałbym do tego wracać”.

W tej sytuacji nie ma co mówić o kształtowaniu świadomości prawnej społeczeństwa – ona nie istnieje, a przecież w założeniu system powinien być zrozumiały dla każdego obywatela. W momencie popełniania przestępstwa musi wiedzieć, jakie są konsekwencje.

Niejasność procesu legislacyjnego. Przepisy powinny być tworzone w taki sposób, aby ludzie je rozumieli. Konsultowane ze środowiskiem. „Teoretycznie są konsultacje, projekty są przysyłane, tyle że nasze opinie nie mają żadnego znaczenia i nigdy nie są uwzględniane, nigdy. Faktycznie to jest tylko takie formalne przesłanie projektu, że sądy dostały, sędziowie się zapoznali, coś napisali, tylko że nic z tego nie wynika, kompletnie”.

Brak cedzaka. „Musi być jakiś próg, granica, poza którą nie można oczekiwać od sędziego aktywności. Bo to jest fizycznie niemożliwe”. „Pamiętam, kiedy do sądów wpływało 8 mln spraw. Teraz wpływa 15 mln i nie zwiększyła się liczba sędziów. Nie uważam, że w Polsce jest za mało sędziów, wręcz przeciwnie. Część spraw

Tu i tam
Białystok ma 300 tysięcy mieszkańców i 85 sędziów. Amsterdam 800 tysięcy mieszkańców i 70 sędziów. Zanim wysłemy naszych do piachu, trochę statystyki. Stolica Podlasia zatrudnia 19 asystentów sędziego. Stolica Niderlandów – 220. Na jednego polskiego sędziego przypada 0,22 pomocnika. Holenderski ma ich trzech.

powinna być załatwiana poza sądami”.

Jaskółki są. Np. już dziś notariusze mogą prowadzić sprawy o nabyć spadku. Opłaty są podobne jak w sądach, ale mało kto o tym wie.

Bez przeszkód można odciążyć sądy od sporów ubezpieczeniowych. To zwykłe proste sprawy administracyjne. Ankietowani sędziowie uważają, że warto podnieść opłaty w sprawach cywilnych, w których wartość sporu jest niewielka. Ludzie procesują się o 50 zł, tłumacząc, że nie chodzi o pieniądze, ale o zasady. Z ich perspektywy warto, bo najniższa opłata sądowa wynosi kilkadziesiąt złotych. Nikt nie liczy, jakie koszty ponosi państwo.

Brak biegłych. Sąd Rejonowy: „Są sprawy, których nie sposób rozstrzygnąć bez jakiejś opinii. Lekarze – tragedia. Księgowi – tragedia. Nie mówię o jakości, bo to jest jeszcze inna para kaloszy. Bywa, że na opinię rok, dwa się czeka. Mówię o sądach rejonowych, nie poważnych sprawach”. Sąd Okręgowy: „Uniwersytety czy politechniki odmawiają. Ze mają plan zadań na dany rok, nie są w stanie sporządzić opinii dla sądu. Co z tego, że przesłucham osiemnastu świadków w 2 dni, skoro przez 2 lata był szukany instytut do sporządzenia opinii z zakresu informatyki?”. A przecież nie ma nic prostszego jak ustalenie co roku listy placówek naukowo-badawczych, które muszą uwzględniać żądania sądów. I naturalnie premiovac współpracujące instytuty i ludzi.

Darmocha. Jeśli strona złoży wniosek o uzasadnienie, dostaje wyrok za darmo. Jeśli nie, kosztuje to 6 zł. „Ubezpieczyciel składa wniosek o uzasadnienie nawet wtedy, gdy wygrał sprawę w całości, a druga strona się nie odwołuje. Ubezpieczyciel prowadzi 100 tys. takich spraw i jak o każdej miałby zapłacić 6 zł, to zapłaci 600 tys. za wyroki, a tak ma za darmo. Załatwiałbym 2 razy więcej spraw, gdybym nie musiał tracić czasu na pisanie uzasadnień”.

Wniosek: uzasadnienie powinno być płatne. Jeśli zostanie wykorzystane do apelacji, która choć w części okaże się zasadna, kasa może zostać zwrócona.

Brak protokołów. „Kiedy dostaje protokół na dyskietce, bo tak to wygląda, to wkładam ją

do komputera i słucham. Połowa to rzeczy nieistotne, chrząkania, siorbania, okazywanie dokumentów, powtarzanie pytań. W protokole pisemnym by to się nie znalazło, tam są tylko rzeczy ważne. Jeśli ktoś pragnie posłuchać, jak naprawdę zeznawał świadek, płakał czy nie płakał, to proszę, płytka jest. Ale system zapisywania zeznań powinien być taki, jaki był przez 50 lat istnienia kpc”. „W rozwodzie miałem kiedyś na 7 stron spisane zeznania świadków, to ja je czytałem 15–20 minut, a teraz odsłuchuję w czasie rzeczywistym 7–8 godzin i robię notatki”. „W sądach apelacyjnych mamy 20–30 godzin do odsłuchania...”.

Biurówka. Sędziowie wydają postanowienia o zwrocie kosztów podróży, uznają odległości kilometrowe dojazdu świadków do sądu. „Sędzia nad tym siedzi, smaruje i uzasadnienie pisze, dlaczego oddać 3,50 zł za bilet...”. To samo z wynagrodzeniami biegłych czy stwierdzeniem prawomocności wyroku. „No przecież do przeliczania tych cyferek, do przepisywania tych cyferek wystarczyłaby osoba z maturą. Rozumiem, że tam sędzia powinien podpisać, ale można by sędziemu pozostawić samo podpisanie, czyli kontrolę, co byłoby o wiele szybsze, albo oddać to do referendarza, co wymagałoby zmiany przepisów”. Albo archiwizowanie. Wprowadzanie orzeczenia na portal. Kolejne tony papieru, które mógłby przełożyć ktoś inny.

Rotacja asystentów i sekretarek. Trzeba uatrakcyjnić posady, bo teraz wciąż odchodzą do lepiej płatnych i mniej wymagających zajęć. Przyuczanie wciąż nowych osób kosztuje więcej. Trzeba umożliwić asystentom pracę pod własnym nazwiskiem.

Elektroniczne doręczenia. Informatyczny system kontaktu ze stronami wyeliminuje zwłokę w dostarczaniu sądowej korespondencji – dziś największy procesowy opóźniacz.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

* Wszystkie cytaty z pracy Justyny Włodarczyk-Madejskiej, Pawła Ostaszewskiego i Joanny Klimczak „Efektywność pracy sądów powszechnych”, Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, Warszawa 2019 r.

Ofiarom represji stalinowskich należy się ok. 150 zł miesięcznie dodatku kombatanckiego i 170 zł ryczałtu energetycznego. A ich spadkobiercom miliony.

Ustawa z 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego ma prawie 30 lat. Kasuje z mocy prawa wszystkie wyroki wydane po 1945 r. wobec różnej maści działaczy, którzy udowodnili, że walczyli o Polskę.

Się należy. Jeśli przyjąć, że po roku 1989 Polska jest wolna, niepodległa i suwerenna, to by znaczyło, że osoby, którym skasowano wyroki, powinny poczuć, że ich cel został osiągnięty. I że warto było zejść w pudło, marznąć na zesłaniu, dostawać po pysku czy być internowanym.

Ale po roku 1989 powrócił kapitalizm. Ten zaś zakładał, że nie ma wolności bez pieniędzy. I nagle okazało się, że ustawa z 1991 r., zwana lutową, to źródło żywej gotówki. Przynajmniej dla tych, którym prawnicy powiedzieli, że w polskim prawie jest zapis, iż „każdy ma prawo do wynagrodzenia szkody, jaka została mu wyrządzona przez niezgodne z prawem działanie organu władzy publicznej”.

Wystarczyło zatem zgłosić się do sądu po unieważnienie wyroków i z takim kwitem oraz zaświadczeniami o odsiadce i wywołanych nią uszczerbkach śmignąć do sądu po odszkodowanie i zadośćuczynienie.

Tysiące osób pognały zatem po kasę. Wnioski z lat 90. dotyczyły kwot kilku, czasem kilkunastu tysięcy złotych. Z reguły takie pieniądze wywalczały. Praktyka sądowa była interesująca: o wiele więcej niż za kilka lat łagru czy ubeckiego więzienia dostawało się za kilka miesięcy internowania.

Wysyp kombatanatów. Na początku tego stulecia liczba wniosków związanych z antykomunistycznymi perypetiami spadła. Wydawało się, że ci, którzy mieli pieniądze od skarbu państwa dostać, już je dostali.

Nie doceniono jednak prawa dziedziczenia ani tego, że z Białorusi powracają do macierzy zstępni gnębionych patriotów. Świadomość prawna dzieci i wnucząt „dziadka z lasu lub z Kołomyj” wzrosła tak, że po kasę ruszyła kolejna fala chętnych. Podobnie późni repatrianci z okolic Grodna. Ci jednak mieli pecha, bo ich AK-owscy przodkowie udzielali się militarnie na terenach, które już Polską nie były. I dlatego polskie sądy odprowadzały ich z kwitkiem. Wystarczyło jednak kilka mie-

Prezydent, premier i minister sprawiedliwości grzmiały, że decyzje Trybunału Konstytucyjnego są święte i nie wolno ich olewać. Czyżby?

Szczególny przypadek lekceważenia wyroków TK, a przy okazji pogardy dla obywateli stanowi orzeczenie dotyczące wykupu przez skarb państwa obligacji wydanych przed 1939 r. Wyrok ten zapadł 24 kwietnia 2007 r. i do dziś nie został wykonany. Jest to przypadek szczególny nie tylko dlatego że od wydania wyroku minęło już prawie 13 lat. Pokazuje on bowiem, że państwo polskie lepiej traktuje obywateli innych państw niż własnych. I dowodzi, iż lepiej zaufać złodziejowi niż rządzącym.

Jak bezcelną jest w tym kontekście niedawna propozycja Ministerstwa Finansów! Obliczyło ono, że Polacy mają 200 mld zł oszczędności. Zaproponowało więc emisję obligacji z możliwością wykupu za 50 lub nawet 100 lat. Wiceminister Tadeusz Kościński uważa nawet, że obligacje te „mogłyby się spotkać z dużym zainteresowaniem”.

• • •

Od emisji obligacji z 1933 r. nie minęło jeszcze 100 lat. Wtedy nazywały się one listami zastawnymi. Bank Gospodarstwa Krajowego prezentuje je w specjalnej gablocie, pisząc obok, że są dowodem ciągłości jego działania. Jednak pieniędzy za listy zastawne nie wypłaca.

Każdy list zastawny to dokument podpisany przez szefa Działu Emisyjnego, dwóch pracowników BGK, jednego członka rady nadzorczej BGK i komisarza rządowego. Wydawało się więc, że jest to prawdziwy



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Prokuratorzy, kieszenie i węże

sięcy IV RP, aby Sąd Najwyższy uznał w 2006 r., że „osoby, które między 17 wrześniem 1939 r. a 5 lutego 1946 r. na terenie Polski doznały represji ze strony władz sowieckich, mogą dochodzić odszkodowań i zadośćuczynień niezależnie od tego, gdzie prowadziły swą działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego”.

Dzięki temu orzeczeniu jeśli ktoś był w AK pod Nowogródkiem do lutego 1946 r., to jego potomek łapał się na szmal od polskiego podatnika.

Ktoś w kancelarii ówczesnego prezydenta Kaczyńskiego wziął kalkulator i zaczął liczyć. Pobiegił do szefa, że budżet na zadośćuczynieniach popłynie, może więc lepiej wyjść przed szereg i pod pozorem robienia dobrze sybirakom ugrać coś politycznie i ekonomicznie. Lech Kaczyński pomysł kupił i w 2009 r. złożył projekt ustawy. Według niej do 30 tys. zł miałby dostać z budżetu Polacy zesłani w latach 1939–1956 do obozów lub w głąb ZSRR i uwięzieni przez NKWD. Szacowano, że uprawnionych do tego świadczenia zamykającego drogę do odszkodowań i zadośćuczynień jest 35 tysięcy. Czyli że poszłoby na nich góra 966 mln zł.

Tusk na coś takiego nie przystał.

Rosnąca cena patriotyzmu. Ponieważ w Polsce zrobiło się bogato, zmieniały się kwoty roszczeń. W połowie poprzedniej dekady oscylowały wokół 50–60 tys. zł, aby w 2010 r. przebić granicę 100 tys. Od tej pory kwoty rosną jeszcze bardziej. Do 2015 r. sądy stały na stanowisku, że

odszkodowanie i rekompensata powinny mieścić się w 200 tys. zł.

Pani M.M. przebywała w obozach pracy przez 8 lat, a kolejne 4 spędziła na zesłaniu. Dlatego domagała się odszkodowania w kwocie 50 tys. zł oraz 100 tys. zł zadośćuczynienia za poniesioną krzywdę moralną i utratę zdrowia. Sąd uznał, że przesadziła. I uargumentował to miazdząco, biorąc pod uwagę „istotę działalności patriotycznej”. „Podjęcie takiej działalności w warunkach zniewolenia państwa, jak uczy historia Polski, zawsze wiązało się z ryzykiem bardzo poważnych konsekwencji, nierzadko idących dalej niż pozbawienie wolności” – uważał sąd, dodając, że „osoby zaangażowane w działalność patriotyczną świadomie owo ryzyko podejmowały, przyjmując, że walka o niepodległość nie zna ceny i godna jest najwyższych poświęceń. Te same osoby za moralnie wątpliwe uznawały jednocześnie prawo do późniejszego domagania się szczególnie wysokich rekompensat za swoją patriotyczną postawę”.

Ciekawsze było odniesienie się sądu do roszczeń z zupełnie niepatriotycznej strony. Sąd uznał bowiem, że „przed zatrzymaniem przez NKWD M.M. nigdzie – poza gospodarstwem rolnym rodziców – nie pracowała, nie miała stałych dochodów. A zatem pozbawienie M.M. wolności i wywiezienie jej do obozu w znaczący sposób nie wpłynęło na jej sytuację finansową w tym sensie, że nie oznaczało pozbawienia jej źródeł dochodów, skoro wcześniej również nie pracowała”.

W ocenie białostockiego sądu okręgowego z 2014 r. wskutek pozbawienia M.M. wolności nie doszło do powstania szkody materialnej. Co skutkowało niewysłaniem wniosku w kosmos, ale przyznaniem 80 tys. zł zadośćuczynienia.

Ponieważ zasądzone kwoty nie podobały się rządowi, poproszono Prokuratora Generalnego, żeby na rozprawy przeciwko skarbowi państwa wysłał prokuratorów. Bo kodeks to dopuszcza. Prokuratorzy mieliby doglądać interesu podatników. No to Andrzej Seremet, ówczesny Prokurator Generalny, zaczął ich wysyłać.

Gdy w Białymstoku wszczęto w 2015 r. sprawę o 200 tys. zł zadośćuczynienia za represję, prokurator brylował, udowadniając, że wnioskodawczyni kasa się nie należy, bo mieszka w Polsce tylko kilka godzin w roku. Na stałe żyje na Białorusi. No i nie tyle walczyła o niepodległość Polski, ile przeciwstawiała się władzom na „terytorium Republiki Białoruś”. Tezy prokuratora nie przekonały sędziów i 200 tys. zł wyjechało za wschodnią rubież Rzeczypospolitej.

Zapluci nacjonałści białoruscy. Od 2016 r. prokuratura przestała być niezależna, ale jak miała oko na roszczenia niepodległościowe, tak ma do tej pory. Kto wie, czy nie bardziej, bo kwoty roszczeń po dobrej zmianie zaczęły iść w miliony. Co było zrozumiałe, bo patriotyczna antykomunistyczna retoryka PiS wskazywała, że ludzie walczący z komuną będą mieli dobrze.

Tymczasem pani z Zielonej Góry, która 2 lata temu dochodziła przyznanych jej ojcu za odsiadkę 160 tys. zł odszkodowania i 500 tys. zł zadośćuczy-

nienia, spotkała się z kontrakcją prokuratora. Dowodził, że kwoty te sąd przyznał, bo weteran miał dwoje dzieci. Ponieważ jednak jedno z nich nie żyje, to drugiemu należy się tylko połowa kwot.

Ostatnio prokurator, tym razem z Suwałk, ocalił budżet ze znacznego uszczerbku.

Dwie córki nieżyjącej już od 33 lat pani chciały 1,2 mln zł odszkodowania i 10 mln zł zadośćuczynienia „za krzywdę doznaną przez ich matkę na skutek represji ze strony radzieckich organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości w okresie od grudnia 1944 r. do stycznia 1955 r.”.

Mimo że mamusia zaliczyła 10 lat Workuty, córki odeszły z kwitkiem. Prokurator poszedł bowiem na całość i udowodnił, że nie ma dokumentów mówiących, że pani walczyła w AK. A tak w ogóle to przecież „została skazana za przynależność do białoruskiej nacjonalistycznej organizacji”.

Duda wam pokaże. Prezydent Duda jeszcze w 2018 r. opowiadał, że wrzuci do Sejmu ustawę dającą pieniądze sybirakom. I wrzucił. Jednorazowe zadośćuczynienie miało wynieść 200 zł miesięcznie za każdy miesiąc okresu podlegania w latach 1939–1956 represjom, nie mniej jednak niż 2400 zł. Według danych Urzędu ds. Kombatanów szacunkowa liczba osób, które mogłyby uzyskać świadczenie, to około 24 tysiące. Średnio przysługiwałoby im 13 200 zł odszkodowania, czyli kosztowałoby budżet ok. 300 mln, 3 razy mniej niż w projekcie Lecha Kaczyńskiego. Przez rok posłowie kwitem Dudy się nie zajęli.

Za ofiarami komuny łazi też Rzecznik Praw Obywatelskich. Od lat molestuje PiS wnioskami o to, żeby prawo do odszkodowań mieli też spadkobiercy osób, które zginęły z rąk NKWD na terenach, które po II wojnie światowej weszły w skład ZSRR. Rzecznik Bodnar spotkał się w tej sprawie nawet z wiceministrem Warcholem.

Spraw o miliony złotych przybywa, a prokuratorzy bronią budżetu przed przepisami, które da się zmienić w każdej chwili. Pisowska władza ustawodawcza, zamiast rzecz zafatwić systemowo, wypuściła jednak w sierpniu kolejną ustawę, która już teraz gna tysiące osób do sądów. Zaczęły obowiązywać przepisy stanowiące, że jeśli ktoś nie był internowany, bo skutecznie się ukrył, to i tak należy mu się takie odszkodowanie, jak gdyby internę zaliczył.

TADEUSZ JASIŃSKI

Polskie papiery bezwartościowe

papier wartościowy, gwarantowany powagą państwa polskiego. Tym bardziej, że pisze na nim: „List Zastawny Banku Gospodarstwa Krajowego w złocie z gwarancją Skarbu Państwa Polskiego”. Był sporządzony w językach polskim, angielskim, niemieckim i francuskim.

Przygotowujący listy zastawne przewidzieli, że po wielu latach złoty może się zdewaluować albo nawet zniknąć, zamieniony np. na euro. Dlatego wartość listu zastawnego, określona np. na 1720 zł w złocie, była przeliczona na franki szwajcarskie, dolary USA w złocie, funty szterlingi czy guldeny holenderskie w złocie. A ponieważ i tamte waluty mogły się zdewaluować czy nawet zniknąć, dodatkowo więc określono, że wartość jednego złotego wymienionego w liście zastawnym równa jest kawałkowi czystego złota o wadze również bardzo dokładnie określonej.

Oprocentowanie ustalił ówczesny Duda dekretem prezydenckim. Jak więc można było takiemu dokumentowi nie ufać? Kolejarze i inni zatrudnieni na posadach państwowych, funkcjonariusze czy urzędnicy otrzymywali pożyczki zakładowe na wykup tych obligacji. II RP budowała z pożyczonych w ten sposób od obywateli pieniędzy drogi, szkoły i mosty. Zbudowała m.in. gmach Sejmu Śląskiego w Katowicach. Przetrwał on wojnę i dziś jest siedzibą wojewody oraz marszałka śląskiego.

Ostatnie przedwojenne obligacje państwo miało wykupić w 1995 r. Zamiast tego wprowadzono przepisy, na mocy których obligacje były warte grosze, a jeśli ktoś tych groszy nie przyjął, jego roszczenie się przedawniało.

• • •

W 2005 r. troje właścicieli listów zastawnych skierowało do TK wniosek o uznanie złodziejskich regulacji za niezgodne z konstytucją. 2 lata

później trybunał, któremu przewodniczyła Ewa Łętowska, przyznał im rację.

Z wyroku dowiedzieć się można m.in. tego, że państwo polskie lepiej traktowało obywateli innych państw niż swoich. Na mocy tajnych umów cudzoziemcom wypłacono odszkodowania: „Pomijając przypadki szczególne, w tym realizację roszczeń wynikających z porozumień międzynarodowych, prawa z obligacji wyemitowanych w okresie międzywojennym nie były po zakończeniu drugiej wojny światowej realizowane. Nie dokonywano ani wypłaty odsetek, ani premii, ani nie realizowano losowań, które przewidywały akty prawne sprzed 1939 r. Państwo, mimo uznania ciągłości prawnej z okresem przedwojennym, nie realizowało nałożonych na nie obowiązków. Formalnie jednak nie pozbawiono posiadaczy obligacji ich praw, papierów tych nie umorzono, ani w żaden inny sposób nie spowodowano utraty ich mocy prawnej”.

I **dziś – po kilkunastu latach od tego rozstrzygnięcia – obligacje mają taką samą wartość jak ten wyrok. Wartość papieru toaletowego.**



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jeszcze w 2010 r. TK w specjalnym komunikacie przypominał: „Decyzja w kwestii ustawowego uregulowania zakresu (wysokości) zadośćuczynienia należy do prawodawcy. Jeżeli w tym w okresie parlament nie uchwali odpowiednich uregulowań, wówczas strony uzyskają możliwość realizacji swoich uprawnień na drodze sądowej z zastosowaniem waloryzacji sądowej dochodzonych roszczeń. Orzeczenie Trybunału usuwa przeszkodę formalną uniemożliwiającą takie działania”.

• • •

Po tym wyroku właściciele obligacji poszli do BGK. Tam im powiedziano, że mają iść do sądów. W sądach ludzie przegrywają. Sądy uznają, że prawo do wykupu uległo przedawnieniu. Wbrew wyrokowi TK, w którym można przeczytać, że powoływanie się na przedawnienie w tym wypadku jest to klasyczne nadużycie: „W tych warunkach odwołanie się do instytucji przedawnienia roszczeń, zważywszy brak aktywności państwa po 1990 r. mającej na celu unormowanie zagadnienia, należy uznać za klasyczne nadużycie. Jest to szczególnie jasne, jeśli będziemy pamiętać o tym, że zarzutem przedawnienia zastania się w tym wypadku państwo, które – mając na uwadze

przyjętą ciągłość prawną – doprowadziło mocą aktów normatywnych wskazanym w skardze konstytucyjnej do stanu ekonomicznego wydrążenia prawa inkorporowanego w obligacjach z jego realnej wartości i utrwaliło ten stan”. Mówiąc językiem mniej zawitym, Ewa Łętowska i pozostali sędziowie TK zarzucili państwu oszustwo.

• • •

Jeden z moich rozmówców znalazł przepis, z którego wynikało, iż przedwojennymi obligacjami można płacić zobowiązania podatkowe. Poszedł do biegłego z listy wojewody, a ten wycenił obecną wartość obligacji. Następnie poszedł z nią do urzędu skarbowego. Tam mu powiedziano, że istotnie może nią zapłacić podatek, jeśli minister finansów rozporządzeniem wprowadzi przepisy wykonawcze. A rozporządzenia nie ma.

5 lat trwała korespondencja w tej sprawie między urzędem skarbowym a właścicielem obligacji. Po pięciu latach urząd napisał, że roszczenie podatkowe uległo przedawnieniu.

Inni właściciele obligacji usiłują odzyskać cokolwiek. Jedno ogłoszenie o sprzedaży listu zastawnego znalazłem nawet na Allegro. Za obligację BGK wartą 1720 zł (przedwojennych w złocie), co stanowiło 1000 ówczesnych franków szwajcarskich, jej właściciel chce 650 zł. Obligacja jest na okaziciela, jej nabywca będzie więc mógł domagać się od państwa polskiego ok. 300 tys. zł, gdyż tyle obecnie nominalnie jest warta. Ale szybciej będzie mógł nakarmić nią chomiki. Te z wdzięcznością ją przyjmą.

Jednocześnie BGK emituje kolejne obligacje. Inne obligacje skarbowe można kupić w oddziałach PKO BP. Reklamowane są one następująco: „Najważniejsze cechy obligacji skarbowych: Bezpieczeństwo – jest to najbezpieczniejsza forma oszczędzania, gdyż emitentem jest Skarb Państwa. Prostota. Czyste zasady dla wszystkich czyli przejrzystość i uczciwość”.

Powiedzcie to chomikom.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Szczęście sprzyja bogożercom. Korona-cierniowa-wirus w natarciu.

Emitowany w TVP 1 program „Alarm!” wspiął się na wyżyny religijnej propagandy. Oswajani z natrętnymi transmisjami mszy oraz innych modłów widzowie Kurwizji dostąpili teraz łaski obejrzenia reportażu na temat „cudu eucharystycznego” w Legnicy. Jako że „Alarm!” puszczany jest w najlepszym czasie antenowym, tuż po – mających już status kultowych – „Wiadomościach”, liczni złażnieni wieści z obozu dobrej zmiany zyskali dzięki Kurskiemu wiedzę teologiczną. Konkretnie na temat transsubstancjacji, czyli przemiany chleba i wina w ciało i krew Chrystusa.

„Hostia, która zamieniła się we fragment serca” – anonsował materiał prowadzący „Alarm!” Mirosław Rogalski. „Za sprawą cudu eucharystycznego do kościoła św. Jaka w Legnicy pielgrzymują tłumy ludzi. Po modlitwach wielu ludzi odczuwa ogromną przemianę i znikają ich problemy ze zdrowiem” – zaintrygował widzów TVPiS. Po tym wstępie przy akompaniamencie patetycznej muzyki pani Monika z Legnicy opowiada, że był to „punkt zwrotny w jej życiu wewnętrznym”, maturzystka Anita z Legnicy twierdzi, że krwawy opłatek wyleczył ją z depresji, a pan Przemysław zawdzięcza hostii uwolnienie od zniewolenia pornografią, alkoholem i kradzieżami.

Panią Barbarę Chrystus w opłatek zakłęty wyleczył z raka, a panu Markowi adoracja krwawej hostii pozwala osiągnąć spokój.

Brakowało tylko uzupełnienia, że pan Andrzej z cudu drwił i urwało mu nogę. Występujący w reportażu to zaledwie kropla w czerwonym morzu nawróceń, uzdrowień i innych zwidów.

Ciało upuszczone

Legnicki „cud” to nie jest *news* z ostatniej chwili. Sprawa krwawej plamy na hostii ciągnie się już od siedmiu lat. W Boże Narodzenie 2013 r. niezdanemu klesze z legnickiej parafii upadł na ziemię opłatek podczas rozdawania komunii. Zgodnie z procedurami upadłe ciało Chrystusa utopiono w wodzie, czekając aż się rozpuści, co przypomina metody znane z filmów kryminalnych. Hostia jednak nie chciała się rozpuścić, przez prawie 2 tygodnie przypominając księdzu fajtlapie o jego nieudolności. Pojawiła się też na niej czerwona plama, upodabniając opłatek do polskiej flagi. Księża jednak nie poszli tropem patriotycznym. Uznali, że czerwona naleciałość to krew, co by potwierdzało prawdziwość teorii o przemianie opłatka w ciało Chrystusa.

Ciało nie na rozum

Ówczesny biskup legnicki Stefan Cichy powołał specjalną komisję do zbadania cudu. Na jej czele stanęła kardiolog dr nauk med. Barbara Engel. Jako członek Rady Katolików Święckich pani doktor podeszła oczywiście do sprawy obiektywnie i bez zbędnego entuzjazmu czy dewocji. „Dostępne badania naukowe nie są w stanie wyjaśnić zaistniałego zjawiska. Cud nie jest bowiem terminem naukowym, jednak zgromadzone dowody i fakty każą nam wierzyć, że to, z czym mieliśmy do czynienia w tej świątyni 25 grudnia 2013 r., nosi rzeczywiste znamiona cudu eucharystycznego, choć ostateczna decyzja w tej kwestii należy oczywiście do Stolicy Apostolskiej (...). Mamy tutaj do czynienia z sytuacją, która na ludzki rozum nie jest wytłumaczalna. (...) Im więcej badamy, tym więcej rodzi się pytań. Badania przeprowadzali naukowcy o różnym światopoglądzie. (...) Większość badających nie wiedziała, skąd pochodzą próbki. Obserwując na poszczególnych etapach ich wyniki, zmagania i wszelkie trudności w procesie badawczym, nabrałam przekonania, że mam do czynienia z czymś mocno wyjątkowym – z cudem. Dla mnie to jest cud” – tłumaczyła beznamiętnie w bezstronnym periodyku naukowym „Nasz Dziennik” wydawanym przez dr. Tadeusza Rydzka.

„Naukowcy zajęli się tym fenomenem i ustalili, że na pewno nie są to bakterie czy grzyby, jak podejrzewali sceptycy. Zespołowi badawczemu udało się wyodrębnić z hostii włókna serca” – informował widzów programu „Alarm!” lektor TVPiS. Nie wszy-

Chrystus dał ciała



Ilustr. KRZYSZTOF OLENIK

scy naukowcy dzielą tę opinię, ale Kurwizja ma przecież na zawołanie dyspozycyjnych ekspertów od wszystkiego. Powszechnie wśród naukowców przyjęło się, że za krwawe plamy na komunikantach odpowiedzialna jest pałeczka krwawa – bakteria wytwarzająca czerwony pigment i lubiąca się w zawartej w opłatkach skrobi. Wierzący jednak nie dają sobie wmówić, że Pan Jezus mógłby mieć coś wspólnego z pałeczką.

Ciało tkankopodobne

W wywiadzie dla internetowej telewizji Racionalista.tv prof. Tadeusz Dobosz – kierownik Zakładu Technik Molekularnych Akademii Medycznej we Wrocławiu, który również badał krwawą wafel, wypowiada się mniej euforycznie niż dr Engel. Potwierdza, że owszem, badanie hostii przeprowadzono, ale nie można tak po prostu orzec, że to cud. W wywiadzie dla branżowego pisma „Medical Tribune” profesor tłumaczył: „Tkanka to tkanka, a badany fenomen z Legnicy jest zaledwie »tkankopodobny«. Ponieważ następny w kolejności podobny obraz to strzępki grzybów, wybarwia się preparat »na grzyby«. I te »włókna sercowe« nie wybarwiają się. Konfuzja badacza rośnie. Badacz kapituluje, mówi »niesamowite« i sprawdza, czy tam jest DNA ludzkie. Nie ma go. I teraz mamy rozdroże, jeden ekspert (w oparciu o doktrynę kościelną, że eucharystia jest powtórzeniem Męki Pańskiej, a więc dotyczy człowieka) powie: »To nie jest ludzkie serce, a więc nie ma cudu«, ale drugi: »Nic dziwnego, bo Jezus był człowiekiem do śmierci, a potem zmartwychwstał jako Bóg. Cud jest więc możliwy, bo co my wiemy o boskim DNA?«”. Klasycznie: wynik badań zależy od nastawienia badacza. Dr Barbara Engel przekonana jest, że w Legnicy zdarzył się cud, bo sama w cuda wierzy. A skoro wierzy lekarz, to czemu miałby nie uwierzyć prosty widz TVP? Więc – jak powiedział klasyk – „jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi”. Swoją drogą skoro bezkrytyczni odbiorcy TVPiS wierzą w prezentowane przez Holeczką i Adamczyka wiadomości w „Wiadomościach”, cuda eucharystyczne to dla nich pestka.

Do każdej beatyfikacji i kanonizacji potrzebny jest cud i za każdym razem znajdują się medycy, którzy potwierdzają, że nie mogą wytłumaczyć cudownego uzdrowienia. Zazwyczaj święty leczy z raka czy innej choroby wewnętrznej. Nie odnotowano natomiast, by komuś odrosła ręka lub noga, co byłoby przecież bardziej

spektakularnym i namacalnym dowodem nadprzyrodzonej materii zjawiska.

Ale taka sztuczka nie udała się nawet J.P.2. Żeby zostać błogosławionym, uleczył on francuską zakonnicę z parkinsona, a na świętość zasłużył sobie, usuwając guza nerki 9-letniemu Dawidowi oraz zator tętnicy płucnej Amerykance Ewie. Nie brak więc specjalistów z zakresu medycyny, którzy chwilowy brak wytłumaczenia zjawiska gotowi są przypisać zaświatom.

Legnica to niejedyne miejsce, w którym dokonał się „cud eucharystyczny”. Do jednego z pierwszych takich przypadków doszło we włoskiej Bolsenie w 1264 r., a na jego cześć papież Urban IV ustanowił święto Bożego Ciała. Dziś cuda eucharystyczne Urban demaskuje – taka przewrotność losu.

Ciało wyplute i przekute

Z pozoru niewinna katolicka wiara w przeistoczenie miewa tragiczne skutki. Pierwszą ofiarą jest oczywiście sam Jezus, który został ukrzyżowany, żeby katolicy mogli go jeść. Z ostatnich ofiar transsubstancjacji wystarczy przypomnieć nastolatka z Belchatowa, który zamiast połknąć – wypluł, co oburzony ksiądz zgłosił na policję. W XV w. przekonanie o rzeczywistej obecności Chrystusa w opłatkach budziło nastroje antysemityczne w Poznaniu. Tam też w 1399 r. odnotowano pierwszy w Polsce „cud eucharystyczny”. Według legendy stało się to przez Żydów, którzy chcieli się przekonać, czy katolicki dogmat o przeistoczeniu to prawda. Nakłonili więc (jak to starozakonni – pieniędzmi) pobożną chrześcijankę do wyniesienia z kościoła przeistoczonego w ciało Chrystusa wafle celem świętokradczego eksperymentu. Przekupiona niewiasta dostarczyła sceptykom 3 hostie, a ci zabili pana Jezusa po raz wtóry, nakłuwając opłatki nożem. Z andrutów popłynęła krew, a ochlapana nią niewiedoma Żydówka odzyskała wzrok. Przerazeni semici zakopali wafle, ale te ciągle się wyłaniały spod ziemi, aż postawiono na tym miejscu kaplicę. Na pamiątkę tego wydarzenia w kościele Najświętszej Krwi Pana Jezusa umieszczono tablicę z wierszem modlitwą:

„Ty Boże, jak za taką krzywdę nagrodziły?”

Twoje, gdy ciężką mękę w Poznaniu wdzimy.

Ty sam Boże jakoś jest zawsze sprawiedliwy,

Ty wyniszcz aż do szczytu ten naród złośliwy”.

W 2005 r. abepe Stanisław Gądecki polecił przenieść tablicę ze świątyni do Muzeum Archidiecezjalnego, naiwnie sądząc, że antyżydowskość stanie się obiektem muzealnym. Nic podobnego. Antysemityzm Polacy wyssali z mlekiem matki i krwią Chrystusa. Tak im dopomóż Kurski!

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



1. W Wielkiej Brytanii organizacja o zmyślnej nazwie Christian Action Research & Education (Chrześcijańska Akcja, Badania i Edukacja), czyli CARE („troska”) łączy siły z firmami, które skarżą państwo za to, że nie dało im zarobić na pornografii w sieci. Producenci aplikacji do zdalnej weryfikacji wieku domagają się 3 mln funtów za rezygnację z wprowadzenia ustawy, która wymagałaby sprawdzania pełnoletniości osób chcących popatrzeć na piepiersie, co ponoć naraziło ich na utratę zysków z kieszeni potencjalnych onanistów. CARE dołącza do ich pozwu, bo uważa, że rezygnacja z wprowadzenia ustawy grozi demoralizacją nieletnich. Przeciwnicy ustawy wskazywali, że jedynym jej efektem będzie zgromadzenie olbrzymiej ilości bardzo wrażliwych danych w szemranych rękach, a nieletni i tak sobie poradzą.

2. Eugene Delgaudio z organizacji Obrońca Publiczny Stanów Zjednoczonych zaatakował fundację występującą w obronie neutralności światopoglądowej armii, zarzucając jej, że z jej winy wojskowe psy nie mogą iść do nieba. „Te bezduszne wrogie Bogu zombie chciałyby odebrać boże natchnienie naszym patriotom, którzy bronią nas, stając w obliczu śmierci z bronią w rękach. A psom, które są bohaterami w bitwie i których wiele ginie i jest upamiętnianych w wojskowych ceremoniach, chcieliby odmówić dostępu do Boga”. Szef fundacji Mikey Weinstein nie pozostał mu dłużny. „Ze wszystkich zgniłych kłamstw i odrażającej fundamentalistycznej chrześcijańskiej supremacji i triumfalizmu wytryskujących jak śmierdząca zółć z cuchnącej paszczy tej tchórzliwej nienawistnej istoty, to kłamstwo jest najgorsze” – odszczeknął.

3. Guia Cabactula i Marissa Duenas, liderzy filipińskiego kultu Królestwo Jezusa Chrystusa, Imienia nad Imionami, zostali aresztowani przez FBI za przemyt ludzi. Cabactula i Duenas importowali do USA wyznawców z Filipin i posyłali ich w miasto w celu kwestowania na organizację charytatywną o nazwie Fundacja Dziecięcej Radości, która jednak nie płaciła za dziecięcą radość, tylko za podróże liderów, budowę stadionu i specjalny fundusz urodzinowy dla założyciela sekty na Filipinach Apollo Quiboloy’a, zwącego się „Wyznaczonym Synem Bożym” i „Właścicielem Wszechświata”. Kwestorzy dostawali limity i wpierdół, gdy ich nie wykonywali, a najskuteczniejsi byli zmuszani do lipnych małżeństw z amerykańskimi członkami sekty, żeby zostać w USA. Zanim FBI ich rozpedziło, zebrali 20 mln dolarów.

4. Chris McDonald, chrześcijański komentator znany z opinii, iż demokratyczny kongresman Adam Schiff jest „szatańskim pedofilem, który składa ofiary z ludzi”, a Hillary Clinton ma na sobie „znamię Bestii”, bo zaprzędała duszę diabłu, zdekonspirował tajemnicę śmierci Kobego Bryanta, legendarnego koszykarza, który niedawno zginął w katastrofie śmigłowca. W rozmowie z Corym Danielem, zwącym się „ekspertem od politycznego okultyzmu”, ustalił, że po pierwsze: Kobe był okultystą, na 100 proc. czarownikiem, a jego śmierć wraz z córką i siedmioma innymi osobami to „rytualna ofiara”. A po drugie, złożyła ją Hillary: „Wszyscy wiemy, to jest właściwie pewne, że pani HRC jest czarownicą. Czy wiedźma może rzucić czar jakoś tak, żeby spowodować śmierć, tak żeby się nie wydało? Czy to możliwe, że chciała się pozbyć Kobego?”.

5. Kardynał Philippe Barbarin, arcybiskup metropolita Lyonu i prymas Galii, został właśnie uniewinniony przez sąd drugiej instancji od zarzutu krycia księdza pedofila Bernarda Preynata, który zaliczył co najmniej 80 dzieci. Pierwsza instancja skazała kardynała za to, że – znając plotki o swawolach Preynata od 2010 r. – nie zrobił nic zgola, a w 2014 r., gdy plotki zostały potwierdzone, nie zawiadomił policji, lecz jedynie Watykan, przekładając reputację Kościoła nad prawa ofiar. Sędziowie Sądu Apelacyjnego w Lyonie unieważnili ten wyrok, stwierdzając, że przepis karzący za nieuwajnienie napaści seksualnych stosuje się tylko wówczas, gdy ofiary same są niezdolne do złożenia skargi – bo np. są dziećmi – a w 2014 r. ofiary Preynata były już dorosłe.

6. W Moshi w Tanzanii 21 wiernych zostało strатовanych na śmierć przez tłum współwyznawców podczas nabożeństwa prowadzonego przez charyzmatycznego pastora Boniface’a Mwamposa, ksywa Buldożer, z Kościoła o dziwacznej nazwie Duszpasterstwo Powstań i Świeć. Z początku nie było wiadomo, co spowodowało panikę, która porwała ludzi – atoli okazało się, że nie chodziło o panikę, ale o nieodparte pożądanie łaski uzdrawiającej. Pastor „Buldożer” zrosił ziemię przed wyjściem z kościoła cudownym olejem do namaszczenia chorych i zapewnił, że każdy, kto po nim przejdzie, tym bardziej się wszystkim nekających go dolegliwości. Po tym jak uniesieni pragnieniem cudu chrześcijanie rozdeptali na miazgę 21 bliźnich, pastor zapakował się do samolotu i poleciał do Dar es Salaam odprawiać mszę dla lepiej wychowanej publiczności.

7. Na wzgórzach Golan objawił się pastor Perry Stone, znany z umiejętności natchnionego mówienia językami i czytania SMS-ów w tym samym czasie. Powędrował do Ziemi Świętej, aby porozmawiać z wiernymi na miejscu – a także fanami jego videobloga – o jednym z niezwykle istotnych, a zarazem przemilczanych zagadnień Starego Testamentu. Otóż jest obliczone, że zwierzęta zgromadzone w arce każdego dnia produkowały 8 do 12 ton gówna. Na szczęście „w arce było okno, które można było otworzyć”, zatem Noe i jego rodzina – w sumie 8 osób – „tamteady mogli łajno wyrzucić, jeśli zaszła taka potrzeba, więc to niekoniecznie oznacza, że odchody piętrzyły się i piętrzyły się bez końca” – wyjaśnił pastor, a nam kamień spadł z serca. Tytuł videobloga: „Odślaniając sekrety Szatana”. Tony gówna na arce stanowczo się kwalifikują.



Jesteśmy świadkami złożonych procesów kulturowych i **zmagai cywilizacyjnych**, a tej próbie towarzyszy swego rodzaju **agnostycyzm** i obojętność religijna wywołująca u wielu Europejczyków wrazenie, że żyją bez duchowego zaplecza, niczym spadkobiercy, którzy roztrwonili dziedzictwo pozostawione im przez historię. (...) Łączy się to ze zjawiskiem **stanowienia prawa** dla tworzących **Europę** ludów w oderwaniu od ich życiodajnego źródła, jakim jest **chrześcijaństwo**.

abp Wacław Depo, homilia na Jasnej Górze, 2 lutego

Mamy do czynienia z **nową formą ideologii**, znacznie bardziej zawoalowanej i używającej bardziej subtelnych środków niż w przypadku **komunizmu**, który znamy z czasów PRL. Ostrzeżenie przed tego rodzaju niebezpieczeństwami zagrożającymi wiernym jest elementem misji, której **Kościół** nie może się wyrzec.

abp Marek Jędraszewski, KAI, 3 lutego

Po zakończeniu drugiej wojny światowej wprowadzie potępiono niemiecki **hitlerowski nazizm**, natomiast nie potępiono jeszcze bardziej zbrodniczego **marksistowskiego bolszewizmu**. Tymczasem ten marksistowski nurt nie tylko przetrwał, ale i wewnętrznie okrzepł, by doprowadzić do tego, co dzisiaj nazywamy **„rewolucją 68 roku”**. Dla nas rok 1968 kojarzy się przede wszystkim z wystąpieniami studentów w Warszawie i w innych miastach uniwersyteckich w obronie wolności kultury czy też z sowiecką inwazją przeciwko „Praskiej Wiośnie”. Natomiast na Zachodzie była to najbardziej **radikalna rewolucja obyczajowa**, jaką można było sobie wyobrazić, która pozostawiła trwałe, bardzo negatywne skutki w **europejskiej kulturze**.

dalej Jędraszewski

W marksizmie prawdą było to, co służyło na danym etapie **rewolucji komunistycznej**. A kto wiedział, co służy rewolucji? Oczywiście partia, na czele ze swoim wodzem, pierwszym sekretarzem. **Współczesne modne ideologie** głoszą mniej więcej to samo. Dla neomarksistów czy też **marksistów kulturowych** prawdą jest to, co służy rewolucji kulturowej, budowaniu nowego, lepszego świata. A co służy budowaniu lepszego świata na danym etapie, to wiedzą główne lewicowo-liberalne ośrodki, na czele z panami typu **George Soros**.

ks. Dariusz Kowalczyk, „Idziemy”, 2 lutego

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w **1968 roku** został uruchomiony pewien proces, który Antonio Gramsci określił jako **„marsz przez instytuc-**

je”. Chodziło o to, żeby **neomarksistowska obyczajowa ideologia** dotarła najpierw do miejsc, w których kształtowany jest człowiek – **do szkół i uniwersytetów**, a potem żeby rozlała się ona na inne dziedziny życia społecznego. Właśnie w ten sposób miało się zmieniać ideowe oblicze tego świata.

Jędraszewski

Z jednej strony mamy **prawo rodziców do wychowywania dzieci** (jest to prawo gwarantowane chociażby w art. 48 konstytucji oraz w prawie oświatowym). Z drugiej strony mamy **konwencję stambulską** – ostre narzędzie naruszające zdrową tkankę tradycyjnego modelu społeczeństwa ukształtowanego historycznie. To jest zagrożenie i oręż w ręku wyznawców ideologii gender, którzy zajmują bardzo wysokie stanowiska w Polsce, jak chociażby pan Bodnar.

Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, Radio Maryja, 28 stycznia

Ci, którzy najbardziej krzyczą i żądają **tolerancji dla swoich** – niekoniecznie zgodnych z ogólnie przyjętymi przez **cywilizowany świat** – zachowań, sami nie umieją okazać tolerancji dla innych. Te sztańdardowe postacie, jak **Robert Biedroń, prof. Sroda** czy **prof. Płatek** – proszę zauważyć, jak ci ludzie mówią **o Kościele**. Oni potem będą nam mówić o **języku nienawiści**.

ks. prof. Waldemar Cisto, Radio Maryja, 1 lutego

W Europie **chrześcijanie** niedługo będą **mniejszością**, a to, co się teraz dzieje, powinno nam dawać do myślenia. Mamy do czynienia z **eliminowaniem chrześcijaństwa**. Nie ma już **świąt Bożego Narodzenia** w wielu krajach – jest „przerwa zimowa”. W wielu szkołach w Szwecji, w Wielkiej Brytanii i w innych krajach nie można postawić **szopki**, żeby nie ranić uczuć religijnych innych uczniów czy ateistów. Kpi się z religii. W Polsce też mieliśmy przykłady **podarcia Biblii**, profanacji krzyża. To jest przykre, że niektóre środowiska katolickie starają się to usprawiedliwiać.

dalej Cisto

Trzeba nam na nowo rozpocząć **batalię zmagai kulturowych**, aby demaskować **niebezpieczeństwa pogańskich i ateistycznych zamierzeń** sprzeciwiających się Ewangelii Życia.

dalej Depo

Chcemy **powierzyć Matce Bożej naszą Ojczyznę**, wszystkie jej sprawy. Chcemy Jej to wszystko oddać, żeby Ona to wzięła do siebie, i żeby w ten sposób działała przez nas, żebyśmy byli **narzędziami w Jej rękach**, i żebyśmy mogli dobrze tę rolę wypełnić.

Ewa Witek, pielgrzymka na Jasną Górę, 2 lutego

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

W imię wolności słowa

Nazywam się Wojciech Krysztofiak. Jestem filozofem, logikiem i blogerem. W 2012 i 2013 r. opublikowałem dwa teksty „Uniwersytety polskie – naga, smutna prawda” oraz „Uniwersytety polskie – naga, smutna prawda II”. Wymienione teksty cieszyły się popularnością wśród czytelników. Pierwszy z nich został przedrukowany w tygodnikach „Angora” oraz „Ochroniarz”. W wymienionych tekstach opublikowałem ranking najłabszych szkół wyższych w Polsce, opracowany na podstawie światowego rankingu największej instytucji badań naukometrycznych w Europie. W 2013 r. jedna z prywatnych szkół wyższych (celowo nie wymieniam jej nazwy, gdyż boję się najgorszych następstw) pozwała mnie, domagając się 100 tys. zł odszkodowania za naruszenie jej dobrego imienia. Na pozew odpowiedziałem, że w swoich tekstach odniosłem się tylko raz do tej szkoły, wymieniacjąc ją na liście najłabszych szkół wyższych w Polsce. Skoro bowiem w gazetach sportowych podawane są tabele od najlepszej do najgorszej drużyny piłkarskiej, to sądziłem, że nie wyrządzam szkód swoją listą polskich szkół wyższych, znajdujących się na liście światowej wśród 20 proc. najgorszych. Napisałem teksty, aby rozpocząć ogólnopolską dyskusję na temat kondycji polskiego szkolnictwa wyższego.

Niestety w 2016 r. Sąd Okręgowy w Łodzi wydał wyrok i nakazał mi oraz jeszcze trzem innym pozwany, którzy przedrukowali mój tekst, wypłacenie 40 tys. zł zadośćuczynienia wraz z ustawowymi odsetkami od marca 2013 r. O wyroku nie zostałem powiadomiony. Dowiedziałem się o nim dopiero 1,5 roku później. Wniosłem o przywrócenie terminu do złożenia apelacji. Sąd odrzucił moją prośbę, tym samym zamknął mi drogę do dalszej obrony. Trzej pozostali pozwani nadal procesu ją się, ponieważ sąd im nie zamknął drogi do obrony. W styczniu 2020 r. otrzymałem pismo od komornika o zajęciu moich kont na kwotę 72 tys. zł. Strzelił mnie piorun jak z jasnego nieba. Okazuje się, że mam zapłacić całą kwotę zasądzoną solidarnie na wszystkich pozwanych.

Wszyscy prawnicy (sędziowie i adwokaci), z jakimi rozmawiałem, stwierdzili, że zna-



lałem się w „czarnej dziurze”. Poradzili mi, abym chronił swoją rodzinę, bo obecnie tkwię w sytuacji, w której mam do dyspozycji „sznur i gałąź”, skoro nie mam kasy na pokrycie zabawy w „wolność słowa akademickiego”. Pomyślałem jednak, że może nadal warto walczyć o imponderabilia, podstawowe wartości definiujące prawa człowieka, bo jeśli wszyscy zrezygnujemy z tej walki, to w jakim świecie nasze dzieci znajdą się za 10–20 lat.

Mam 56 lat, swoją dorosłość rozpoczynałem w czasach PRL, w których posiadanie marzeń i sensu życia wyróżniało jedynie promiły społeczeństwa. Chciałbym, aby moja córka i jej rówieśnicy również posiadali sens życia i marzenia, gdy wkroczą w okres „młodej dorosłości”. Bo czyż dla starego belfra nie jest to przyjemne, gdy widzi, iż „młododorosłym ludziom” (dzieciom, byłym uczniom) o coś w życiu chodzi?

Sensu życia nie da się posiadać, gdy czujesz, że nie wolno ci mówić na temat, na który chcesz mówić. Chciałbym nie mieć tego poczucia, aby móc moim uczniom i czytelnikom nadal pokazywać, że warto nie bać się, że warto mówić o sprawach ważnych publicznie. Dlatego organizuję tę zrzutkę, aby móc nadal mówić i nie zadowalać się niemym milczeniem, gdy „system” łamie wolność słowa, wolność marzeń i prawo do dyskusji; gdy czujesz symboliczne kajdany na swoich dłoniach. 72 tys. zł to dla wielu z nas ogromna suma. Ale tyle potrzebuję, aby zdjąć ze swoich dłoni kajdany założone mi przez ludzi, którzy chyba nie rozumieli konsekwencji swoich prawniczych decyzji. Każdemu, kto wesprze moją walkę z „systemem”, będę wdzięczny i postaram się odwzajemnić równie „energicznymi tekstami” jak dotychczas. Pisałem dla czytelników, nie dla siebie. Chciałbym móc wykrzyczeć radośnie, że zawsze warto pisać o wartościach.

„Togo, coś Polskę”

W tym artykule („NIE” nr 3/2020) red. AWŁ na wstępie napisała: „PRL była najlepszym krajem, jakim mogła być w niezależnych od niej warunkach...”. W natłoku bezwstydných kłamstw wygłaszanych przez kastę pisowskich historyków, publicystów i polityków na temat ludzi pracujących na rzecz ówczesnego kraju, czyli zwanych przez nich utrwalaczami Polski Ludowej, takie zdanie działa jak balsam. Po zawłaszczeniu TVP oraz stacji radiowych od rana do nocy funkcjonariusze tych mediów wbijają widzom i słuchaczom do głowy kit o bohaterstwie tych, którzy jeszcze w czasie działań bojowych przeciwko wojskom hitlerowskim walczyli z przedstawicielami nowej władzy i armią sowiecką.

Ani słowem nie wspominają, że była to walka bez szans na jakiegokolwiek pozytywny skutki dla Polaków. Mrzonką było liczenie na konflikt

między koalicjantami. Rząd Stanów Zjednoczonych już po zakończeniu wojny w Europie potrzebował pomocy ZSRR w rozgromieniu Japonii (bomba atomowa nie była jeszcze gotowa). Propagandiści kaczytowskcy skrupulatnie przestrzegają zasady przemilczania faktu istnienia tzw. obozu państw socjalistycznych. Chodzi im o wyrobienie w świadomości młodzieży (starzy nie dadzą się nabrać tak łatwo) przekonania, że byli tylko „polscy komuniści” ulegli Moskwie. Gdyby nie przejęli władzy z rąk „drugiego okupanta”, to tzw. rząd londyński, prawdziwie polski, osiadłby w Warszawie. Jedną z korzyści, jaka by z tego płynęła, to brak konieczności, o której mówił Krzywousty w wywiadzie dla „Die Welt”: oczyszczania sądownictwa z sędziów, którzy pobierali nauki u profesorów z komunistycznych uczelni. Mają „odciśnięte piętno”.

Kazimierz Pietuchowicz

Wieści z kruchty

➤ Konferencja Episkopatu Polski wydała dekret w sprawie zawierania małżeństw kościelnych. Są zmiany. Małżeństwa nie będą mogły zawrzeć osoby, które „nie mogą dokonać stosunku małżeńskiego”, czyli impotenci, osoby aseksualne albo takie, które zmieniły płeć. Nie będzie też można wziąć ślubu, gdy jedno z narzeczonych jest nieochrzczzone. Wyjątkiem będzie specjalna dyspensacja od biskupa ordynariusza. Utrudnione zostanie także zawieranie małżeństwa w innej parafii niż ta, w której narzeczeni są zameldowani bądź mieszkają na stałe – będzie to możliwe tylko w drodze wyjątku. Bardzo dobrze. Im więcej trudności, tym mniej ślubów kościelnych.

➤ Abp Marek Jędraszewskiego z okazji setnej rocznicy urodzin Karola Wojtyły ogłosił, że kto przez cały rok 2020 odwiedzi kościoły w archidiecezji krakowskiej związane ze św. Janem Pawłem II, otrzyma odpust zupełny. Brzmi to jak zachęta do jeszcze większego napływu turystów do miejsc, gdzie są też przecież takie atrakcje jak Wieliczka, Wawel, smok i „Dama z łasiczką”.

➤ W hali „Arena Jaskółka” w Tarnowie odbyło się IX Forum Formacyjne „Moc Obecności” pod patronatem lokalnego biskupa Andrzeja Jeża. Jako atrakcja wystąpił słowiecki charyzmatyk Damian Stayne z Wielkiej Brytanii. Uczestnicy forum zgłosili co najmniej kilkadziesiąt przypadków uzdrowień i wyleczenia z różnych przypadłości zdrowotnych. Pani Elżbieta, która na forum przejechała na wózku inwalidzkim pchanym przez córkę, wstała i weszła na scenę. Każdy człowiek może dokonać takiej sztuki.

➤ Koszty przygotowania grobu na jedynym, a prowadzonym przez łódzką diecezję cmentarzu w Brzezinach sięgały 5 tys. zł, a datek „co łaska” dla księdza miał wynosić nie mniej niż 500 zł. Mieszkańcy i władze samorządowe wspólnie zdecydowali o budowie cmentarza komunalnego. Ma kosztować 900 tys. zł. Dobrze słyszeć, że Kościół katolicki przyczynia się do rozwoju inicjatyw obywatelskich i samorządności.

➤ Polska Akademia Nauk zorganizowała „Forum dla praworządności”. Zaprosiła polityków, sędziów, adwokatów, naukowców. Abp Stanisław Gądecki, prze-

wodniczący Konferencji Episkopatu Polski, zgłosił chęć przysłania swoich przedstawicieli. Prof. Jerzy Duszyński, prezes PAN, uznał jednak, że to niepotrzebna fatyga i grzecznie odmówił. Podobno dlatego że obecność przedstawiciela Kościoła mogłaby być sprawą drażliwą dla innych zaproszonych gości. To już nie te czasy, gdy przedstawiciele kleru siadali przy Okrągłym Stole i nikt nie kręcił nosem. Czy jakaś łza w oku Gądeckiego się nie zakręci za tą starą, dobrą, tolerancyjną komuną?

➤ Wrocławski sąd okręgowy umorzył – bez procesu – sprawę byłego ks. Jacka Miedlara oskarżonego o pochwalenie zbrodni, której dokonał w Nowej Zelandii prawicowy ekstremista Brendon Tarrant na muzułmanach. Sędzia Mariusz Wiązek nie dopatrzył się przestępstwa w wystąpieniu ks. Jacka na umieszczonym na YouTube filmiku. Co jest najciekawsze w tej sprawie, to fakt, że wylosowany do jej prowadzenia sędzia Mariusz Wiązek poprosił, żeby wyłączyć go z orzekania. Uzasadniał to tym, że mieszka na terenie wrocławskiej parafii, w której kilka lat temu duszpasterzem był ks. Jacek i przychodził do niego po koledzie. Wniosek sędziego Wiązka został jednak odrzucony.

➤ Renata Sutor, adwokatka z Rabki-Zdroju, wysłała do ponad 2 tys. samorządów w Polsce petycję w sprawie podjęcia uchwały dotyczącej intronizacji Jezusa Chrystusa na Króla Polski. Mecenasa Sutor bardzo się napracowała. Musiała wejść na stronę internetową, stronę każdej gminy w Polsce, województwo po województwie, powiat po powiecie, gmina po gminie, skopiować jej adres mailowy, wysłać mail. Zgodnie z ustawą każdy obywatel może składać petycję do organów samorządowych w różnych sprawach, nawet absurdalnych. Organ samorządowy musi się odnieść do petycji za każdym razem, nawet jeśli odpowiedź miałaby być negatywna. We Wrocławiu petycję odrzucono, ale pod pretekstem, że przedmiot petycji nie mieści się w katalogu zadań gminy. W katolickim Nowym Targu po obradach nad petycją jednogłośnie ją odrzucono. Zajmowali się nią także radni z Piły. Odrzucili. „Co chwila podwyżki czynszu, wywozu śmieci, wody itp., a my duperelami się zajmujemy” – powiedział jeden z nich anonimowo. To wybór króla Polski jest duperelą?

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

REKLAMA

Przegląd

Prof. Bronisław Łagowski
Bibi T. Słonek, mąż
oskarżony

Prof. Jan Wiśniewski
Podejrzana sędzia Pawłowicz

Prof. Ludwik Stomma
Jak Duda wyszedł na pieniądze

Andrzej Kapkowski
o polityce
deklaracyjnej

POLOWANIE NA KWAŚNIEWSKICH

www.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE:

Prof. Bronisław Łagowski
Putin i „śmierć mózgowa” polskich partii

Prof. Jan Wiśniewski
Podejrzana sędzia Pawłowicz

Prof. Ludwik Stomma
Jak Duda wyszedł na pieniądze

Andrzej Kapkowski
59 ofiar ustawy dezubekizacyjnej

15 stycznia minęła 101. rocznica jej męczeńskiej śmierci z rąk siepaczy skrajnie prawicowej wojskowej organizacji Freikorps, prekursorskiej dla hitleryzmu. 31 stycznia 1919 r. odnaleziono w jednym z berlińskich kanałów zwłoki Róży Luksemburg. Kilka dni później odbył się uroczysty pogrzeb z udziałem kilkudziesięciu tysięcy berlińskich robotników. Żegnali ideową przywódczynię, jedną z najwybitniejszych intelektualistek ówczesnej niemieckiej, polskiej i europejskiej lewicy. Na znanym zdjęciu żałobnego wieceu wykonanym z balkonu widać, że większość żałobników trzymała w ręku cylindry. Tak nakazywał obyczaj; nawet w robotniczych rodzinach przechowywano to nakrycie głowy, dziedziczone z ojca na syna i używane na śluby i pogrzeby jako świadectwo szacunku.

Dziś w Polsce z nakazu ustawy uchwalonej zgodnie przez PiS i PO, i na podstawie wytycznych IPN pamięć o Róży Luksemburg jest wymiata z pamięci publicznej. W milczeniu przeszła rocznica jej śmierci, ta ostatnia i poprzednia – setna. Nie ma już ulic jej imienia, na domach, w których mieszkała w Zamościu i Poznaniu, nie ostały się pamiątkowe tablice. Uzasadnienie dla tych pośmiertnych represji przez resort prawdy historycznej, czyli IPN (według prof. Andrzeja Romanowskiego – Instytut Polowań Narodowych) jest wyjątkowo bałamutne i kłamliwe nawet jak na tę Orwellowską instytucję. Przy okazji sporu o zamojską tablicę „Rzeczpospolita” informowała, że w opinii IPN „poglądy, które głosiła Róża Luksemburg i promocja jej postaci wypełniają znamiona ustawy o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego”. Zaś poseł Józef Brynkus w poprzednim Sejmie w zapale antykomunistycznym ogłosił, że Luksemburg „nienawidziła Polski i Polaków, była gorącą przeciwniczką polskiej niepodległości”.

Rażąca obrazą historycznej prawdy lub zwyczajne nieuctwo. Pomijając już bezsens ustawowego traktowania wszystkich komunistów, nawet poza Związkiem Radzieckim, jako zgrai oprawców i wynikający stąd nakaz wymazania całej ich tradycji (ciekawe, czy oznaczałoby to zakaz publikacji „Kapitału” Marksa, co stawiałyby Polskę poniżej Rosji carskiej w historii obskurantyzmu), oskarżenia wobec Róży Luksemburg kłamliwością wykraczają nawet poza literę tej ustawy. Posądzanie intelektualistki, która zginęła 4 tygodnie po założeniu Komunistycznej Partii Niemiec, a 2 miesiące przed powołaniem Międzynarodówki Komunistycznej, o propagowanie totalitaryzmu to czysta aberracja, podobnie jak wmawianie jej nienawiści do Polski i Polaków.

O miłości po polsku

Przyszła na świat 5 marca 1871 r. w zamożnej rodzinie pochodzenia żydowskiego, lecz całkowicie spolonizowanej. Na imię dostała Rozalia, zaś nazwisko brzmiało Luxemburg. Późniejsze przekształcenia wynikły z błędów rosyjskich urzędników wydających paszporty. Domowym językiem jej rodziców był polski, a ojciec sprawami polskimi żywo się interesował.

Po studiach w Zurychu uzyskała doktorat z ekonomii, co stawiało ją w pierwszym szeregu wykształconych kobiet w Europie. Bardzo niewiele pań w tamtych czasach sięgało po taki szczebel kompetencji naukowej. W Zurychu współ z gronem młodych emigrantów zawiązała polską lewicową partię polityczną Socjaldemokracja Królestwa Polskiego, później dodano: „i Litwy”.

Poznała też życiowego partnera Leona Jogichesa, pochodzącego z Litwy i wychowanego w kulturze rosyjskiej. Skłoniła go do bieglego opanowania polszczyzny, gdyż, jak twierdziła, o miłości mogła rozmawiać tylko po polsku. Spolszczony w ten sposób Jogiches został działaczem SDKPiL pod nazwiskiem Jan Tyszką. Sama Róża była poliglotką, biegle władała kilkoma językami, a niemieckim na najwyższym poziomie literackim.

Czytając Mickiewicza

Róża Luksemburg jako wybitna postać lewicowego skrzydła europejskiego ruchu socjalistycznego nie była „komunistką” w sensie leninowskim. Prawda o niej w tej kwestii została sfalszowana już w PRL. W dobrej sprawie intencji. Po częściowej destalinizacji, czyli po 1956 r. starano się oczyścić Różę ze stalinowskich oskarżeń o herezję. Stalin bowiem zajadłe tępił tzw. luksemburgizm. W ramach tej „rehabilitacji” w zbyt różowym świetle przedstawia-

Rozalia Luksemburg – kompromitacja IPN.



Róża bez kolców

no jej relacje z Leninem. W rzeczywistości jako uczestniczka wszystkich ważnych debat i sporów w europejskiej socjaldemokracji częściej się z Leninem wadziła niż zgadzała. W kluczowym dla przyszłości rosyjskiej socjaldemokracji rozłamie na mienszewików i bolszewików poparła mienszewików. Przez pewien czas wspólnie z Leninem zwalczała „rewizjonizm” Eduarda Bernsteina z niemieckiej SPD za ugodowość wobec burżuazji. Rychło jednak zorientowała się, że krytykują Bernsteina z zupełnie odmiennych pozycji. Lenin idei partii walczącej nie tyle o socjalistyczny cel ostateczny, ile o poprawę warunków życia i pozycji politycznej ludzi pracy, przeciwstawiał koncepcję partii zorganizowanej na modłę wojskową pod

dobne idee głosił Juliusz Słowacki: jego słowa o idących na śmierć »jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec« stały się częścią polskiej kultury politycznej. Czy nie daje to podstaw do przypuszczenia, że głoszona przez Luksemburg »historiozofia heroicznej klęski« była w jakiejś mierze wynikiem oddziaływania na nią kultury polskiej? Hipotezy takiej nie należałoby odrzucać zbyt pochopnie”.

Różę Luksemburg ponownie zbliżyła do Lenina wojna światowa. Oboje zajęli zdecydowane antywojenne stanowisko. W proteście przeciw głosowaniu SPD za kredytami wojennymi opuściła tę partię i założyła radykalny Związek Spartakusa, przez Lenina popierany. Ale rewolucja rosyjska i dojście bolszewików do władzy



scentralizowanym przywództwem walczącą o rewolucyjne zdobycie władzy niepodzielnej. Ten model centralizmu i omnipotencji Komitetu Centralnego był Róży obcy. Wielbiła spontaniczny ruch mas plebejskich. Wdała się w tę sprawę w kilkuletnią polemikę z Leninem. Ta debata miała też aspekt mało znany, a pokrewny sporom specyficznie polskim. Lenin, chłodny taktik walki o władzę, odrzucał wszelkie wystąpienia przedwczesne, skazane na klęskę. Kazał czekać, aż sytuacja rewolucyjna „dojrzeje”.

Róża była entuzjastką spontaniczności. Nie peszyły jej klęski, jej model rewolucyjności był heroiczny. „Cała droga walk rewolucyjnych usłana jest klęskami” – pisała. – „A mimo to historia tych walk niepowstrzymanie prowadzi krok za krokiem do ostatecznego zwycięstwa. Gdzie bylibyśmy dziś bez tych »klęsk«, z których czerpiemy doświadczenie historyczne, poznanie, siłę i ideowość?”.

Prof. Andrzej Walicki, autor najbardziej wnikliwej w dostępnej literaturze analizy teorii politycznych i historiozoficznych Róży Luksemburg tak to skomentował*: „Takich samych argumentów używano, i wciąż się używa, w obronie polskich powstań narodowych: wszystkie poniosły wprawdzie klęskę, ale każde z nich było zwycięstwem moralnym, wzmacniającym świadomość narodową i torującym drogę narodowemu wyzwoleniu. Rozumowanie takie jest głęboko zakorzenione w dziedzictwie kulturalnym polskiego romantyzmu. Największy przedstawiciel tego dziedzictwa, Adam Mickiewicz, był ulubionym poetą Róży Luksemburg. Jak wiadomo, przeciwstawiał on »ludziom rozsądnym« »ludzi szalonych«, sławił czyny bohaterskie i straceńcze, dowodząc, że ofiary i cierpienia pomagają przeważyć szalę Opatrzności, zmienić wyroki Boże. Po-

zmieniło sytuację. Internowana we wrocławskiej twierdzy liderka Spartakusa zareagowała ostrym sprzeciwem na antydemokratyczne poczynania bolszewików, zwłaszcza na delegalizację innych partii, nawet lewicowych. W obszernym esej „O rewolucji rosyjskiej” zawarła mocne antytotalitarne przesłanie i prorocze ostrzeżenie. Oto kluczowy fragment jej wywodu: „Wolność tylko dla zwolenników rządu, tylko dla członków jednej partii – choćby nawet byli oni nie wiedzieć jak liczni – nie jest wolnością. Wolność jest zawsze wolnością dla innej myślicy! (Freiheit ist immer Freiheit der Andersdenkenden)”. I kontynuowała: „Bez wyborów powszechnych, bez nieskrępowanej wolności prasy i zgromadzeń, bez swobodnej walki poglądów zamiera życie w każdej instytucji publicznej, stając się życiem pozornym, przy czym jedynym elementem czynnym pozostaje biurokracja”.

Kochała polskie krajobrazy

Wokół stanowiska Róży Luksemburg w kwestii niepodległości Polski narosło mnóstwo nieporozumień. Nie było w tym stanowisku cienia antypolonizmu. Jedyne, jak na te czasy już anachroniczne, błędne teoretycznie i szkodliwe politycznie, choć ćwierć wieku wcześniej popularne na lewicy europejskiego ruchu socjalistycznego przekonanie, że walka o niepodległość pojedynczych zniewolonych narodów nie ma sensu. Powinna ustąpić miejsca wspólnej walce międzynarodowej klasy robotniczej o obalenie kapitalizmu, co automatycznie niejako uchyli wszelkie zniewolenie narodowe. Przed laty Bohdan Cywiński w poczynnej książce „Rodowody niepokornych” trafnie dowodził, że zwolennicy tego stanowiska mimo negocjowania

haseł niepodległościowych swoją rewolucyjną walką z mocarstwami zaborczymi do odzyskania tej niepodległości się przyczyniali. Podobne stanowiska uzasadniał wybitny polski historyk prof. Stefan Kieniewicz w referacie o drogach do niepodległości z listopada 1978 r.

Róża Luksemburg wręcz obsesyjnie domagała się rezygnacji z wszelkich partykularnych lojalności w imię wyzwolenia ogólnoludzkiego. Odrzucała nawet pozór nacjonalizmu.

Gdy zarzucano jej brak zainteresowania walką z antysemityzmem, wyjaśniała: „Cierpię niemniej z powodu losu Indian i Murzynów. Nie mogę znaleźć w moim sercu specjalnego miejsca dla żydowskiego getta. Domem moim jest cały świat”. Przywołajmy ponownie opinię Walickiego: „Oczywiście niesłuszne byłoby podejrzenie, że wrogość Luksemburg wobec polskich idei niepodległościowych wyrażała w jakiejś mierze niechęć do Polski i Polaków. Było wręcz odwrotnie. Najbardziej intymne, niepodważalnie autentyczne, prywatne listy Luksemburg dowodnie świadczy, że uważała się za Polkę, źle czuła się wśród Niemców, kochała polską kulturę, polski język, a nawet sielskie polskie krajobrazy. Polskość Górnego Śląska, dokąd socjaldemokraci niemieccy skierowali ją w celu prowadzenia agitacji, wywołała w niej nastrój prawdziwej euforii”.

Podobne do Róży Luksemburg stanowisko wobec walki o niepodległość zajmował starszy o pokolenie Ludwik Waryński. Jednak jemu IPN udzielił oficjalnej amnestii od dekomunizacyjnej dyskryminacji. Ciekawe, dlaczego Różę potraktowano inaczej, z wielką zajadłością. Czyżby zaważyła być może nawet nieświadomość niechęć do niej z powodu pejsatych protoplastów?

Ekscesy nieuctwa

Wymiatanie pamięci o Róży Luksemburg z przestrzeni publicznej otarło się o skandal dyplomatyczny podobny do tego, jaki wywołała znana nowela ustawy o IPN. Tym razem w stosunkach polsko-niemieckich. Rok temu, gdy w Zamościu usuwano tablicę pamiątkową, kilku entuzjastycznych stronników dobrej zmiany odkryło, że w Polsce działa filia niemieckiej Fundacji im. Róży Luksemburg (Rosa-Luxemburg-Stiftung) i wspiera różne lewicowe imprezy popularnonaukowe. Domagano się zdekomunizowania tej fundacji. Rozpoczęło się nawet policyjno-prokuratorskie dochodzenie. Byłby skandal, gdyż fundacja działa w intelektualnej otoczce Bundestagu i jest finansowana przez budżet RFN. Zgodnie z prawem europejskim może podejmować działalność w całej UE. Znalazł się ktoś rozsądny i kazał sprawę wyciszyć.

Tak czy owak

sprawa Róży Luksemburg wyróżnia dzisiejszą Polskę negatywnie. W całym cywilizowanym świecie, na Wschodzie i na Zachodzie, jej pamięć i spuścizna są szanowane.

Dekomunizacyjne ekscesy naszej polityki historycznej obfitują w ośmieszające głupoty, takie choćby jak tępienie pamiątek po światowej sławie uczonym Oskarze Langem lub zasłużonych dla sprawy polskiej, zwłaszcza dla jej zachodniej granicy, Władysławie Gomułce czy Adamie Rapackim. W przypadku Róży Luksemburg mamy jednak do czynienia z procederem nie tylko głupim, lecz moralnie haniebnym.

M.Z.

* Andrzej Walicki „Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii”, Warszawa 1996.

Państwo Środka i dwóch bramek.

Koronawirus wypędził z Chin polskiego trenera piłkarzy Guiyang z prowincji Kuejczou na południu kraju. Po sugestii polskiej ambasady Łukasz Kowalski wraz z żoną spakowali manatki i wrócili do kraju.

Oczywiście dziennikarze wypytywali trenera o atmosferę, jaka zapanowała w kraju po wybuchu epidemii. Trener Kowalski opowiedział m.in., że w Chinach niektórzy mieszkańcy uwierzyli, iż przed patogenem chroni dym papierosowy i zaciągali się nim na potęgę, nawet ci wolni od nałogu. Przypomina mi się etap Wyścigu Pokoju rozgrywany w Kijowie kilka dni po katastrofie elektrowni atomowej w pobliskim Czarnobylu. Wielu miejscowych ucieszyło się, bo rozeszła się plotka jakoby alkohol chronił przed radioaktywnym promieniowaniem i władze mają w związku z tym zawiesić znienawidzony „suchy zakon” wprowadzony przez Gorbaczowa. Nic z tego. Ani ludziom radzieckim nie pozwolono kupować gorzałki, ani Chińczykom nie rozdaje się bezpłatnie papierosów. Pogłoski okazały się teoriami spiskowymi, we współczesnej polszczyźnie zwanymi *fake newsami*.

To nie wirus, to pożyczka

Przenosiny dwóch znanych piłkarzy z ligi chińskiej do Europy nie miały natomiast nic wspólnego z szerzącą się epidemią. 1 lutego Odion Ighalo z Shanghai Greenland Shenhua dołączył do Manchesteru United. Angielski klub rozpaczliwie poszukiwał napastnika, bo Marcus Rashford doznał groźnej kontuzji kręgosłupa, która na wiele miesięcy wyłączyła go z gry. Komuś zechciało się policzyć, ilu napastników władze Manchesteru United brały pod uwagę jako zastępców Rashforda i doliczył się prawie setki nazwisk; wśród nich znalazło się także nazwisko Krzysztofa Piątka. Nigeryjczyk Ighalo zwiedził kawał świata, bo Manchester United jest już 13. klubem, w którym zagra. Nie wiadomo zresztą, jak długo, bo Chińczycy nie sprzedali jego karty zawodniczej, lecz tylko wypożyczyli ją na pół roku.

W zimowym okienku transferowym chiński Dalian Yifang także na pół roku wypożyczył belgijskiego piłkarza (ma również obywatelstwa Hiszpanii oraz Portugalii) Yannicka Carrasco klubowi Atlético Madryt, z którego zresztą kupił go w roku 2018 za 30 mln euro.

Dotychczas piłkarze przenosili się z Europy i Ameryki Południowej do Chin. Był to ruch jednokierunkowy. Kupowano ich za ogromne pieniądze i płacono im oszałamiająco wysokie pensje. Być może przypadki Odiona Ighalo oraz Yannicka Carrasco są sygnałem, że zaczyna się ruch w drugim kierunku? Na pewno jednak nie można łączyć tego zjawiska z epidemią koronawirusa, przynajmniej dotychczas. Chińskim klubom po prostu już nie opłaca się płacić kroci za zagranicznych piłkarzy, a wkrótce samym cudzoziemcom przestanie się kalkulować granie dla Chińczyków. Futbolowe szaleństwo, które rozprzestrzeniło się w Kraju Środka szybciej niż wirus z Wuhan, nie wzięło się znikąd; to efekt centralnego planowania.

Piłka kopana centralnie

Plan stworzenia piłkarskiego imperium pojawił się ledwie 5 lat temu. Prezydent Xi Jinping jest wielkim sympatykiem tego sportu, ale jego kibicowskie upodobania nie były decydujące. Ekipa rządząca najludniejszym krajem świata dostrzegła ogromny potencjał gospodarczy łączący się z tą



grą. Nie bez znaczenia jest także efekt propagandowy, jaki można osiągnąć, odnosząc na tym polu sukcesy. W 2015 r. opracowano więc 50-punktowy plan rozwoju chińskiej piłki nożnej.

W 2050 r. Chiny mają się stać futbolową potęgą. Ponieważ sport ten najsilniejszy jest w Europie, rozpoczęto od ataku na ten kontynent. Miliardery, a jest ich w Chinach więcej niż w USA, masowo zaczęli kupować europejskie kluby, zresztą nie tylko te największe i najbardziej znane, w ich portfelu znalazła się m.in. Slavia Praga. Nie można wykluczyć, że niektórzy z chińskich bogaczy nie bardzo orientują się w arkanach piłkarskiego biznesu, ale wszyscy są przyzwyczajeni do realizowania wytycznych płynących z góry. Przyszło polecenie „Kupować kluby piłkarskie!”, to zaczęli kupować. W kraju, w którym połączono zasadę kierowniczej roli partii komunistycznej z gospodarką rynkową, z poleceniami się nie dyskutuje.

Emerytura za wielkim murem

Najważniejsze punkty planu rozwoju piłki dotychczas oczywiście działań krajowych. Chiny muszą mieć dobrych piłkarzy. Rozpoczęto tworzenie ośrodków, w których skoszarowano setki tysięcy uzdolnionych chłopców. Akcja jest prowadzona na tak szeroką skalę, że musi przynieść efekty. Ale na nie trzeba poczekać. Działaniem doraźnym była poprawa poziomu krajowych rozgrywek.

Chińskie kluby zaczęły zatrudniać zagranicznych trenerów, często ze znanymi nazwiskami. Przede wszystkim jednak skupiono się na sprowadzaniu z Europy i Ameryki Południowej piłkarzy. Gwiazdy nie bardzo jednak kwapiły się do obierania tego kierunku. Kto chce występować w meczach stojących na kiepskim poziomie, nie mówiąc już o różnicach kulturowych, kuchni, klimacie i konieczności pokonywania dużych dystansów między odległymi stadionami? Skusić mogły tylko naprawdę duże pieniądze. Z tym akurat nie było problemu.

Do Chin zaczęli wyjeżdżać znani piłkarze, których kariery zbliżały się już jednak do koń-

ca i chiński kierunek stał się czymś w rodzaju finansowego przygotowania do sportowej emerytury. Dotychczas taką funkcję spełniały tylko bogate kraje arabskie, Chińczycy finansowo przebijali jednak naftowych krezusów.

W 2015 r., w roku ogłoszenia 50-punktowego programu, Brazylijczyk Paulinho przeszedł z FC Barcelona do Guangzhou Evergrande, dokąd początkowo go wypożyczono, a później sprzedano za 42 mln euro. Kataloński klub zarobił dzięki tej transakcji 2 mln, bo wcześniej za 40 mln kupił Paulinho z Tottenhamu Hotspur, nie mówiąc już o tym, że mógł jego nazwisko wykreślić z listy płac. Nikt za bardzo nie dziwił się Brazylijczykowi. Jego kariera rozwijała się powoli; zanim stał się piłkarzem światowego formatu, startował w lidze litewskiej i polskiej (ŁKS Łódź). Nic dziwnego, że postanowił zadbać o swoje oszczędności, bo zebrał ich mniej niż inne gwiazdy.

Szokiem był natomiast transfer jego rodaka Oscara, który w szczytowym momencie kariery przeszedł z Chelsea Londyn do szanghajskiego SIPG za 60 mln euro. Zdecydował się na to w wieku 25 lat. Większość piłkarzy wyjeżdżających do Chin ma za sobą 30. urodziny. Może namówił go starszy kolega Brazylijczyk Hulk, kupiony przez SIPG za 56 mln euro z Zenitu Petersburg? Hulk jest kapitanem drużyny i boryszchem chińskich kibiców.

Odsypywanie z miseczki

Długo można wymieniać nazwiska jaśniejszych i mniej jasnych, choć już z wolna gasnących gwiazd, które przeniosły się do Chin. Ale chyba nie ma sensu, bo decydenci doszli do wniosku, że czas skończyć z milionowymi transferami i zarobkami. Wprowadzono nowy podatek. Teraz każdy klub, który kupi za granicą zawodnika, musi wpłacić kwotę równą transferowi na specjalny fundusz wspierający rozwój młodzieżowej piłki w kraju.

W myśl tych przepisów Oscar nie kosztowałby 60 mln euro, lecz 120 mln. Trochę drogo...

Federacja futbolowa realizuje plan z żelazną konsekwencją. W styczniu podano do wiadomości kolejne przepisy, które będą stopniowo wprowadzane. Najważniejszym jest tzw. *salary cap*, czyli limit zarobków piłkarzy. Miejscowy zawodnik nie będzie mógł zarabiać więcej niż 1,45 mln dolarów rocznie, cudzoziemców potraktowano łagodniej, oni będą mogli otrzymywać za sezon 3,35 mln dolarów netto. Taka pensja dla większości ludzi byłaby marzeniem, ale stadionowych gwiazd nie rzuci na kolana.

To nie wszystkie obostrzenia, które będą sukcesywnie wdrażane. Począwszy od przyszłego sezonu, roczne wydatki klubów nie będą mogły przekraczać 150 mln dolarów, a na pensje wolno będzie przeznaczyć jedynie 60 proc. tej kwoty.

Może w tej nowej sytuacji do Chin zaczną wyjeżdżać polscy piłkarze (jeśli oczywiście nie będzie już tam zagrażać koronawirus)? Warto wspomnieć, że do tamtejszej ligi Polacy wyjeżdżali dużo wcześniej, niż stało się to modne wśród znanych futbolistów, i bardzo dla nich intratne. Kibice na pewno pamiętają czarnoskórego reprezentanta Polski Emmanuelę Olsadebe. Kariera Nigeryjczyka z polskim paszportem nie przebiegała tak, jak mógł ją sobie wymarzyć. Nękały go kontuzje, trafiał do coraz słabszych drużyn. W 2008 r. zadebiutował w barwach Henan Jianye w lidze chińskiej i został w niej nawet wicekrólem strzelców. Po dwóch latach wyjechał z Chin, próbował – bez powodzenia – zacząć się w Ekstraklasie, karierę kończył w II lidze Grecji.

W tym pionierskim okresie większość polskich piłkarzy (m.in. Mateusz Zachara, Marek Józwiak, Rafał Pawlak) wyjeżdżała do Chin na krótko – na sezon albo mniej. Nikt nie ukrywał, że chodzi przede wszystkim o to, żeby zarobić. Bodaj najcelniej określił swój roczny pobyt w 2006 r. Bogdan Zając: „Mogłem tam pograć i powiedzieć. Zobaczyłem Hongkong i parę innych miejsc. Przy okazji zarobiłem trochę grosza. Było fajnie”.

Reprezentant Polski Krzysztof Mączyński wybrał się do Chin już w okresie, w którym zatrudniano tam znanych futbolistów. W 2014 i 2015 r. zagrał przez 1,5 sezonu w drużynie Guizhou Renhe i zdobył z nią Superpuchar Chin. Później zateknął na Ekstraklasę...

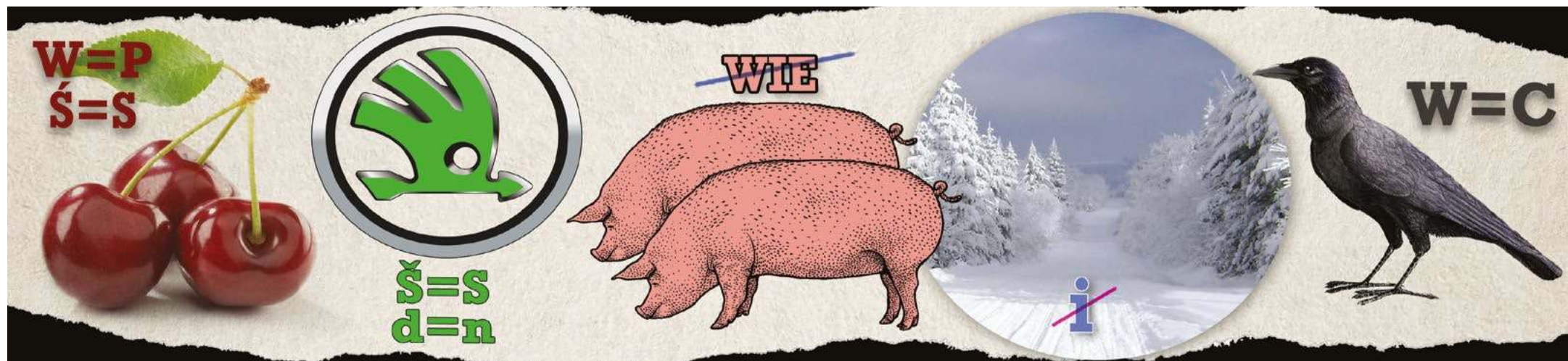
Kiedys będą tu mistrzostwa

Nowe przepisy zniechęcą na pewno wielu piłkarskich gospodarbeiterów do wyjazdów. A czy możliwy jest ruch w przeciwnym kierunku? Na razie chyba nie. Zawodnicy z tego kraju potrafią jeszcze zbyt mało; minie sporo czasu, zanim zdołają tam dochować się jakiejś gwiazdy światowego formatu, choć znając konsekwencję, z jaką dążą do określonych celów, na pewno i tego się doczekamy. Dla społeczeństwa, które w 5 dni buduje szpital dla zarażonych koronawirusem, wychowanie miejscowego Messiego wydaje się prostym zadaniem.

Wirus z Wuhan zatrzęsł kursami giełdowymi, przywalił polskiej złotówce, biznesmeni z różnych branż liczą straty. Czy będzie miał wpływ na futbol? Oczywiście dziś nikt nie jest w stanie tego przewidzieć; nie wiadomo, jaki zasięg będzie miała epidemia i jak długo potrwa. Na razie odwołano zaplanowane w Chinach halowe lekkoatletyczne mistrzostwa świata, puchar tego kraju w snookerze i inne zawody. Zwieńczeniem wspomnianego 50-punktowego programu rozwoju futbolu w Chinach miałyby być zorganizowanie w tym kraju piłkarskich mistrzostw świata.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

REBUS 2



	SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ: Jerzy Urban – redaktor naczelny, Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny (zastępcy red. nacz.), Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasinski, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolk-Laniewska, Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP). WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o. ADRES redakcji i wydawcy: 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9, tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68; tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58. DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.	INTERNET www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa. E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.” Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada. DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź, e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl Poczta Polska – prenumerata krajowa: Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600 www.prenumerata.poczta-polska.pl	„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora). prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę: Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75 www.ruch.com.pl e-mail: prenumerata@ruch.com.pl	Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora): • połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803 • połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00 Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0 Prenumerata elektroniczna: www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl 1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydań – 156 PLN Numer zamknięto: str. 1–16 – 5.02.2020 r.
--	--	--	--	--



W idealnym państwie istnienie kogoś takiego jak prezydent Duda byłoby niemożliwe w rozumieniu Unii Europejskiej. Zrobmy sobie idealne państwo: poudawajmy do maja, że Dudy nie ma.

Oczywiście Duda będzie obecny fizycznie. Będzie wstawał rano, jadł śniadanie, szedł do pracy. Będzie coś mówił, coś pisał, chodził do toalety i korzystał z komputera. Ale my nie będziemy tego zauważać. Co nam szkodzi?

W codziennych rozmowach będziemy mówili o wszystkim, tylko nie o Dudzie. Nawet nie będziemy mówić o tym, że nie mówimy o Dudzie – o tym będziemy mogli sobie najwyżej pomyśleć.

Szczególne zadanie stoi przed politykami innymi niż Duda i reszta pisowców. Na spotkaniach z elektoratem zwłaszcza oni niech udają, że Dudy nie ma. Jeśli wyborcy, którzy jeszcze nie podejmą gry w nieistnienie Dudy (a tacy na pewno będą, przynajmniej na początku), zapytają o Dudę, Robert Biedroń, Władysław Kosiniak-Kamysz czy Małgorzata Kidawa-Błońska niech udzielają odpowiedzi na inny temat.

Przykład. Wyborca pyta: – Co można zrobić, żeby postawić Dudę przed sądem, skazać go i zamknąć w więzieniu?

Biedroń odpowiada: – Jeśli wygram wybory prezydenckie, przedstawię projekt ustawy o związkach partnerskich.

Przecież to proste.

Dziennikarze radiowi i telewizyjni nie będą wspominać o Dudzie. Nie będą zapraszać do studiów jego urzędników, a jeżeli jakiś pisowiec nienależący do świty Dudy zdziwi się, że o Dudzie się nie rozmawia, dziennikarz zmieni temat.

Wicepremier Sasin w programie „Kawa na ławę” (TVN 24): – Podpisując ustawę dyscyplinującą sędziów, pan prezydent Andrzej Duda przerwał chaos panujący w wymiarze sprawiedliwości. A właśnie, dlaczego nie ma dziś przedstawiciela pana prezydenta?

Prowadzący audycję red. Konrad Piasecki: – Co stanowi większe zagrożenie, koronawirus w Wuhanu czy związana z brakiem opadów śniegu susza? Proszę, Paweł Kukiz.

Paweł Kukiz: – Zdecydowanie susza. Z wirusami już tak jest, że znikają tak samo szybko, jak się pojawiają...

Sasin: – Dlaczego w studiu nie ma przedstawiciela pana prezydenta? Przecież zadałem pytanie.

Kukiz: – Po pierwsze, chińskiego wirusa jeszcze w Polsce nie ma, a nawet jeśli się pojawi, to służby medyczne, jak słyszymy, są na to przygotowane.

Sasin będzie miał dwa wyjścia: albo rozmawiać o wirusie i suszy, albo wyjść ze studia.

Po kilku dniach publiczne wspomnienie o Dudzie będzie jak puszczenie bąka.

To, że wszyscy będziemy udawali, że Dudy nie ma, nie będzie oznaczało, że go nie będzie naprawdę. Będzie, ale tylko tam, gdzie będzie się go pokazywać oraz z nim i o nim rozmawiać, czyli w pisowskich mediach, na pisowskich salonach i pod pisowskimi strzechami.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI
pcwika@redakcja.nie.com.pl

Świętej Pauliny

Holandia wróciła do nazwy Niderlandy. Jest to dowód na to, że pod rządami PiS Polska stała się mocarstwem w Europie. Kosztowną zmianę miana państwa wymusiła presja Polski zmierzająca do uwiarygodnienia pobożnego katolika i patrioty Onufrego Zagłoby, który nie Holandię przecież sprzedawał.

Świętej Beatrycze

Upadłem w nocy, wstając z sedesu, jechałem na mordę 3 metry, aż ściana mnie zatrzymała. Potłukłem się cały. Pokrwawiłem siebie i marmurową podłogę. Mój wrzask obudził Daniszewską, z którą dzielił łóżko na pamiątkę dawnej tego celowości. Nie mogłem się podnieść, pełzałem bezradnie. Żona nie miała siły mnie dźwignąć. Wezwała krzepkiego członka naszej ochrony i on mnie podniósł. O sprawstwo wypadku podejrzewana jest bibułka – chusteczka do nosa. Leżała ona przy sedesie na podłodze i przypuszczalnie stąpnąłem na nią i pojechałem na mordę. Obywatele, strzeżcie się papierów!

Świętego Eustachego

Władza i aparat propagandy chwaliły nominowany do Oscara polski film „Boże Ciało” za to, że jest apolityczny. Stosunki PiS z „Ciałem” popsuł reżyser Jan Komasa. Lokalnej gazecie „Hollywood Reporter” przedstawił Polskę „w negatywnym świetle, fałszując rzeczywistość”. Jak z tego wynika, nie tylko filmy, ale też filmowcy mają być apolityczni i stawiać na zadowolenie Nowogrodzkiej, a nie na światową promocję dzieł. Postawić Komasę przed Trybunałem Konstytucyjnym.

Świętego Tymiliana

Spadła ulewa nominacji do nagród filmu o sprawie Dreyfusa. Masakruje on militarno-katolicki nacjonalizm na uniwersalnym przykładzie Francji. W Polsce wznowiono więc kampanię przeciw reżyserowi. Pretekstem jest to, że 45 lat temu Roman Polański zerznął 13-latkę. Powiem więc, że Stalin, gdy był w tym samym wieku, co Polański, żył z 13-letnią panią Lidką Piereprygina. Było to zgodne z ówczesnymi obyczajami panującymi w Gruzji. Podobnie później w przypadku Polańskiego. Różnicę kogoś popadnie zgodne było z ówczesnym etosem Hollywood.

Świętej Teodory

Zdaniem „Gazety Polskiej” ludzkość jest podzielona na zwolenników Polski i na miłośników Rosji. Błędne mniemanie. Np. do Chin tuli się tylko wirus. Bogdana Dobosza oburza, że francuska katolicka gazeta

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

„La Croix” wydrukowała wywiad z Janem Tomaszem Grossem. Mówił on o tym, co się w czasie okupacji działo między Żydami i nie-Żydami. Autor twierdzi, że na czele szkalujących Polskę kroczy dwóch ludzi: Gross i Putin, a swą narrację historyczną narzucają światu. Przeciw tej parze staje paryski klub „Gazety Polskiej”. I co w tym kłopot? Taka jest naprawdę przyrządowa wizja świata i takie postrzeganie mocy sił w nim działających.

Świętego Erazma

Zobowiązałem się każdego tygodnia pieścić red. Dorotę Kanię, ale w zeszłym nie miałem za co ją złapać. W tym tygodniu demaskuje ona prezesa krytycznego wobec Ziobry stowarzyszenia prokuratorów Lex Super Omnia Krzysztofa Parchimowicza. Prezes protestuje, ma więc za to dyscyplinarkę. Skoro ją ma, jest więc niewiarogodny. Tak rozumuje Kania. Z funkcji superważnego dyrektora Biura do spraw Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej delikwent zdegradowany już został na najniższy powiatowy szczebel. Prezes ma złe pochodzenie. Brat służył w Milicji Obywatelskiej, siostra w urzędzie skarbowym, szwagier w SB. Pomocnikiem prezesa był były członek PZPR. Stowarzyszenie prokuratorów współpracuje ze stowarzyszeniem sędziów Themis. Ojciec prezski Themisów Morawiec był w wojsku kapitanem. W swym wywodzie Kania przesłępiła to, że sędzia Morawiec jako dziecko chorowała na czerwonkę.

Świętego Dominika

Prof. Antoni Dudek przypomniał, że wprowadzony w styczniu 1990 r. z Sali Kongresowej sztandar PZPR wyszedł i zaginął. Po trzydziestu latach nie ma po nim śladu. Może jakieś umiejętnie grono czytelników „NIE” pod patronatem redakcji i przy naszym wsparciu podjęłoby poszukiwania? Po pierwsze dla zabawy, pod drugie, żeby poznać mechanizm znikania i losy tej pamiątki.

Świętego Tymiana

Nasz kot Edek wrócił do domu poważnie pogryziony. W kręgu podejrzanym znajduje się lis żyjący dziko w Konstancinie i widywany przez naszą ochronę. Edek ma imię po chacie – postaci z „Tanga” Mrożka, nadane

kotu nietrafnie przez Daniszewską. Rudzielec wyrósł bowiem na spokojnego intelektualistę.

Świętej Lukrecji

W wywiadzie danym niemieckiej gazecie „Bild” Kaczyński oświadczył, że oprócz Niemiec także Rosja powinna zapłacić odszkodowanie za zbrodnie popełnione w Polsce. Skutki prowokacji prezesa wobec Rosji, która nas zniewoliła przez wyzwolenie, będą uzasadniały wydanie przez RP gigantycznych pieniędzy na stado amerykańskich samolotów najnowszej generacji.

Świętej Emanueli

Co słychać u Urbanów? Spuszczanie wody. Daniszewska zachorowała na tzw. grypę żołądkową. Jej objawami są sraczka i wielkie osłabienie. Szczęściem żona zakończyła już stały pobyt w klozecie. Siła także jej wraca, i to do niebezpiecznych dla mnie rozmiarów.

Świętej Otylii

Utknęły prace nad pełnometrażowym filmem dokumentalnym o mnie. Producent i reżyser nie mogą znaleźć inwestorów wierzących, że można zarobić na Urbanie. Ja ich rozumiem i podzielam każdy rodzaj niewiary. Już moi pradziadkowie urodzeni we wczesnych latach XIX w. byli polskojęzycznymi ateistami. O moich przodkach pre-Urbachach, Brodaczach i Frumkinach opowiadałem dziś społecznikom dokumentującym historię znaczących łódzkich Żydów. Po co oni to robią? Po nic. Po prostu z żydolubstwa.

Świętej Ambrozyny

W zeszłym roku postawiłem raz talerz z resztkami jedzenia za kartonowym pudełkiem z bibułkowymi chustkami do nosa. Odtąd co wieczór Azor nosem sprawdza ten karton i jego okolice. Pamięć jest sprzeczna z rozsądkiem. Alzheimer go przywraca.

Świętej Tatiany

Dokonawszy brexitu, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii skurczy się do Królestwa Anglii. A może to królestwo stanie się bez Szkocji, Walii i Irlandii Północnej księstwem zaledwie?

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 84

